MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XI. Nr. 19. WARSZAWA, 12 KWIETNIA 1931 R. CENA NUMERU 80 GR.

WIEDEŃSKA PROBA NIEMIEC

NIEMIECKA niespodzianka przedwielkanocna r. 1931, zgotowana światu przez zawarcie i ujawnienie wstępnej umowy Niemiec i Austrji w sprawie wspólnoty celno - gospodarczej, jest nietylko zdarzeniem, które w najbliższych i nieco dalszych także miesiącach nie zejdzie z powierzchni i ściągać będzie na się uwagę, ale zarazem, co ważniejsza, zdarzeniem, wydobytem z głębi stałych i twardych pokładów napięć i sił, poruszających i niepokojących rozwój dziejowy Europy powojennej.

Przedewszystkiem zatem trzeba ogarnąć spojrzeniem dotychczasowy stan rzeczy wraz z najbliższemi zapowiedziami.

1. Odwiedziny ministra spraw zagranicznych Rzeszy Niemieckiej p. Curtius'a w Wiedniu w początku marca r. b. doprowadziły, w rokowaniach z kanclerzem Austrji p. Ender'em i wicekanclerzem oraz ministrem spraw zagranicznych p. Schober'em, do podpisania protokułu w 12-tu artykułach, który dnia 21-go marca b. r. podano do wiadomości mocarstw zachodnich a 24-go marca b. r. ogłoszono w całości. Treść i budowę protokułu austro-niemieckiego ująć można i określić krótko tak, że w artykule 1-szym zapewnia on bardzo uroczyście, iż ma być całkowicie poszanowana niezależność obu państw i mają być całkowicie poszanowane ich zobowiązania wobec państw innych, a postanowienia dalszych artykułów całkowicie temu przeczą. Wedle tych postanowień bowiem Niemcy i Austrja mają stanowić jednolity obszar celny i w umowach gospodarczych z innemi państwami mają działać wspólnie, co jest istotą rzeczy, pokrywaną w toku artykułów nawet nie zastrzeżeniami, ale poprostu pustemi słowami, mającemi niby łagodzić to sedno sprawy. W rzeczywistości protokuł austro-niemiecki, ustalający w ten sposób zasady, na których miałaby się oprzeć umowa celno - gospodarcza, sprzeczny jest z art. 88-mym Traktatu w Saint-Germain między Sprzymierzonymi a Austrją z 10-go września 1919, który wyraźnie zakazuje Austrji wszelkich działań, mogących narazić na szwank jej niezawisłość nietylko bezpośrednio, ale i pośrednio, jak wyraźnie tam powiedziano, a niemniej lub nawet ściślej i wyraźniej sprzeczny z protokułem, podpisanym przez Austrję w Genewie dnia 8-go października 1922, a zakazującym jej wszelkich rokowań i zobowiązań w szczególności gospodarczych, jak znowu tam dosłownie powiedziano, któreby bezpośrednio lub pośrednio mogły narazić na szwank tę niezawisłość, dając jednemu państwu szczególne przywileje. Naruszenie postanowień obu tych układów międzynarodowych z r. 1919 i z roku 1922, brzmiących bardzo ściśle, jest tak jawne, jak rzadko tylko bywa.

2. Po natychmiastowych krokach urzędowych przedstawicieli państw zachodnich i sąsiadujących z Austrją, podjętych w Wiedniu, oraz rozmowach dyplomatycznych z Berlinem, stanowiska dotyczasowe zaznaczyły się w oświadczeniach, złożonych przez ministrów spraw zagranicznych. Dnia 28-go marca b. r. oświadczył p. Briand w Senacie Francuskim, że w tajonem porozumieniu austro-niemieckiem tkwi pierwiastek niepoprawnego zaskoczenia, że narusza ono zobowiązania Austrji, że próba urzeczywistnienia tego, co w protokule jest tylko zapowiedziane, zmusiłaby innych do wkroczenia. Dnia 30-go marca b. r. oświadczył p. Henderson w Izbie Gmin, dając wyraz ubolewaniu z powodu tego zdarzenia, iż Rząd Brytyjski przekazuje rozpatrzenie go Radzie Ligi, a w razie potrzeby

także Stałemu Trybunałowi Sprawiedliwości w Hadze. W Wiedniu dnia 30-go marca b. r. odczytał p. Schober na wspólnem zebraniu przedstawicieli państw obszerne oświadczenie, starając się wykazać, że Austrja unikała w swem przekonaniu naruszenia zobowiązań międzynarodowych, oraz że nie jest to jeszcze rzecz dokonana. W Berlinie zaś dnia 31-go marca b. r., na posiedzeniu Rady Państwa, p. Curtius, obok wyjaśnień w tym samym duchu, dał oświadczenie, że Niemcy nie będą się sprzeciwiały rozpatrzeniu w Radzie Ligi. W tle europejskiem zarysowuje się stanowczy sprzeciw Czechosłowacji oraz wyczekiwanie ze strony Włoch.

3. Sprawa pójdzie zatem do Rady Ligi, której zwyczajne posiedzenie odbędzie się dnia 18-go maja b. r. w Genewie. Wchodzi ona tam nie na podstawie postępowania naglącego, wedle art. 11-go paktu Ligi, który przewiduje, że każdy członek Ligi może w razie groźby zatargu wojennego zwrócić się do Ligi, a wówczas natychmiast zwołuje się nadzwyczajne posiedzenie Rady. Załatwiana będzie na podstawie art. 15-go paktu Ligi o zatargach wogóle, wedle którego Rada Ligi może wydać zalecenie, które jest obowiązujące, jeśli powzięte zostało jednomyślnie bez liczenia państw lub państwa, uczestniczącego w sprawie zaczepionej, przyczem Rada Ligi może również zasięgnąć zdania Trybunału w Hadze. Sprawa została zatem skierowana na tory załatwiania raczej powolnego, w toku którego oczywiście Austrja i Niemcy nie mogą już dokonać dalszego, przynajmniej wyraźnego, zaskoczenia, gdyż zbytnio by sobie tem zaszkodziły.

Tak wygląda sprawa pokrótce w tej chwili i tak będzie wyglądała naogół do posiedzenia Rady Ligi w połowie maja r. b.

*

Że sprawa związku celno-gospodarczego Austrji z Niemcami ma być tylko taką ot sobie niewinną wspólnotą, zdala od polityki a szczególnie wielkiej polityki europejskiej, o tem p. Curtius i p. Schober napomykają, ale nawet oni najwyraźniej bez przekonania. Można bowiem ostatecznie wysuwać podobne twierdzenia w dziedzinach, mniej przeoranych doświadczeniem. Tu jednak doświadczenia są bardzo wymowne.

Po utworzeniu na Kongresie Wiedeńskim w r. 1815 ówczesnego Związku Niemieckiego z udziałem Austrji i Prus, doprowadziły Prusy w r. 1833 do stworzenia słynnego Związku Celnego wszystkich państw niemieckich z wyłączeniem Austrji, co Metternich w sprawozdaniu dla cesarza Franciszka I z czerwca 1833 r. tak objaśniał:

— Krok za krokiem, pod czynnem kierownictwem Prus, oraz wskutek narastających nieuchronnie interesów wspólnych, Państwa, wchodzące w związek celny, zespolą się w ustrój zwarty nietylko w sprawach gospodarczych...

Jednem słowem, Metternich mówił, że związek celny musi doprowadzić do związku politycznego. Wówczas był to związek Prus z innemi państwami niemieckiemi bez Austrji, a dzisiaj tak samo właśnie miałaby być wciągnięta Austrja. Wówczas miało to obalić układ polityczny Kongresu Wiedeńskiego r. 1815, a teraz układ polityczny Konferencji Pokojowej r. 1919. Podobieństwo jest i w obrazie i w całem tle.

Pod koniec wojny światowej, cesarz Wilhelm i cesarz Karol, dnia 12-go maja 1918 r., podpisali w Spaa protokół, w którym zobowiązali się przeprowadzić:

— ... 1. urzeczywistnienie długotrwałego sojuszu politycznego, zmierzającego do obrony i rękojmi dla obu państw; 2. zawarcie sojuszu wojskowego; 3. zawarcie związku celnego i gospodarczego przez stopniowe wypracowywanie go, z ostatecznym celem zniesienia wszelkich granic celnych między oboma Państwami, przyczem ten sojusz celny i gospodarczy nie ma mieć znamion zaczepnych względem innych państw, ani utrudniać stosunków handlowych z niemi...

Czego chciały wówczas Niemcy? Dążyły do utworzenia t. zw. Mitteleuropy. Podstawą miał być związek celny i gospodarczy obok nieodłącznego związku politycznego i wojskowego. Jak to się wiązało z całością zamierzenia owej t. zw. Mitteleuropy, świadczy następujące zaraz po tem zdanie:

— Wysokie układające się strony uznają, że ostateczne załatwienie spraw pod 1 i pod 3 mieści w sobie uprzednie porozumienie wzajemne w sprawie polskiej.

Gdy więc dzisiaj mówi ktoś o związku celnym i gospodarczym Niemiec i Austrji, wiadomo o czem mówi, oraz do czego zmierza.

*

W Polsce istnieje naogół nieufność wobec tych zamysłów przyłączenia Austrji do Niemiec, a raczej odosobniony jest pogląd p. Cat-Mackiewicza, który od kilku lat uważa takie połączenie za pomyślne dla Polski, wyrażając całą swą myśl w takiem np. zdaniu w swym dzienniku (nr. 70):

— Czyż jest lepiej, gdy Niemcy zamiast na Bałkany spoglądają na Tczew, Grudziądz, Gdynię i Bydgoszcz?

Tkwi w takim poglądzie wielkie uproszczanie spraw politycznych. Skądże nietylko ta pewność, ale choćby domniemanie, że wchłonięcie Austrji nadwątli dążenie Prus do połączenia lądowego Prus Wschodnich z Rzeszą i opanowania ziem polskich nad dolną Wisłą? Jest rzeczą jasną, że podniecone powodzeniem Niemcy tem natarczywiej zmierzać będą do osiągnięcia także i tamtego celu.

Mniemanie, że Polska, nie tak bezpośrednio dotknięta sprawą połączenia Austrji z Niemcami jak Czechosłowacja, Jugosławja lub Włochy, może nie troszczyć się o to, jest również bardzo nieoględnem uproszczaniem sobie spraw, które się wiążą i wikłają. Jeśli Polska dziś powie, że ani ją grzeje, ani ziębi przyłączenie Austrji do Niemiec, to jutro powie Czechosłowacja, Jugosławja, Wło-

chy, że ani je grzeje, ani ziębi sprawa naszego Pomorza. Układ polityczny z r. 1919 tworzy całość, której burzenie od różnych stron może być myślą polityczną Niemiec, ale byłoby dowodem tylko bezmyślności innych.

*

Dotychczasowy przebieg sprawy, po ujawnieniu protokułu austro-niemieckiego z marca r. b., uwydatnił zgodę poglądów w każdym razie w dwu podstawowych sprawach.

1. Wszyscy zgodnie sądzą, że związek celnogospodarczy Austrji z Niemcami byłby równoznaczny z rychłem urzeczywistnieniem połączenia politycznego. W rzeczy samej, gdy duchowy prąd łączności, tak silnie od czasu wojny wytwarzany, znajdzie oparcie w zespoleniu gospodarczem, czyż polityczny związek nie będzie tylko prostym wynikiem już istniejącego połączenia gospodarczego i duchowego? W tym względzie niema złudzeń.

2. Wszyscy widzą sprężynę w Berlinie. Pod względem prawnym właśnie Austrja związana jest postanowieniami układów z r. 1919 i z r. 1922 przeciw połączeniu z Niemcami. Ale w obecnych odgłosach dyplomatycznych odruchowo i jednomyślnie widzi się niejako uwiedzenie nieletniej Austrji przez przedsiębiorcze Niemcy.

Raz jeszcze, wobec tego nowego posunięcia Niemiec, które wywołało poruszenie i nawet oburzenie, trzeba wyzbyć się wszelkiej naiwności i powiedzieć sobie:

— Niemcy doskonale wiedziały, że będzie poruszenie i oburzenie, liczyły się z tem, uwzględniły to sobie w rachunku, a dobrze wiedzą, że dotychczas we wszystkich sprawach, jak odszkodowania, zbrojenia, podważania granic, gdzie zaczynało się od krzyku oburzenia na działanie przeciw traktatom, wychodziły nieźle w ostatecznem załatwieniu.

Poprostu liczą Niemcy na to, że gromadząc żądania, wysuwane w sposób rozmyślnie huczny i uderzający, doprowadzą umysły ludzkie w świecie raz jeszcze do tego stanu, w którym mówi się, że... w czemś przecież trzeba im ustąpić.

To, co Niemcy zrobiły w Wiedniu w marcu 1931 r., jest tylko częścią wzmożonego naporu po uwolnieniu się w roku 1930 z okupacji Nadrenji. Wysuwają zmiany granic, wysuwają przyłączenie austrjackie, wysuwają rozbrojenie. Jest to ostrzeliwanie ogniem mocnym na szerokim froncie. Gdzie będzie główne uderzenie, to się jeszcze pokaże, a można się już domyślać.

STANISŁAW STROŃSKI

O BIBLJOTEKĘ PAMIĘCI NARODOWEJ

I

WAŻNĄ sprawę poruszył niedawno w krakowskim „Głosie Narodu“ dr. Franciszek Bielak. Zdając sprawę z wydawnictwa niemieckiego „*Deutsche Charaktere*“, zwraca uwagę na silny prąd w wychowaniu niemieckiem, zmierzający ku wpojeniu w psychikę narodową ideału mocnego człowieka, ideału czerpanego z zasobów tradycji. My podobnego wydawnictwa dotychczas nie mamy, a tymczasem — powiada autor:

„Nawrót do wielkich postaci naszej przeszłości jest konieczny. Nie chodzi tu wcale o martwe, autorytatywne podawanie kogoś za wielkość, ale o wytworzenie żywego, szczerego stosunku do tych, którzy pracowali dla Polski i zostawili myśli, czyny i uczucia tak cenne, że powinniśmy je poznać, a jeśli można uczynić swemi. — Zwłaszcza młodzieży należałoby ukazać więcej postaci prawdziwie wielkich. Mimo to, co się na dzisiejsze młode pokolenie mówi, ono na szczęście, jest pełne idealizmu. Objawia się on oczywiście inaczej, niż lat temu dwadzieścia, ale niemniej pęd bezinteresowny do realizowania pewnych idej jest. Warunki jednak, trochę z winy starszych, nie dopomagają rozwojowi tego pędu. Młodzież nie widzi dokoła siebie wzorów godnych naśladownictwa, a wiadomo, że najskuteczniejsza droga przez przykłady. Trzebaby oczywiście starannie dobrać żywoty do tego polskiego Plutarcha, właśnie ze względu na zmienione warunki“...

Sprawa poruszona przez prof. Bielaka już dawno leży mi na sercu, korzystam więc ze sposobności, aby tę bardzo pożyteczną myśl, poprzeć garścią uwag.

*

Nauczyciel historji polskiej (wzgl. historji kultury polskiej), który nie poprzestaje na chronologji i ciekawostkach, ale chce dać uczniowi wgląd w jej przyczynowość — o ile zarazem pragnie, aby ta historja działała na ucznia b u d u j ą c o — znajduje się w pewnem, trudnem i przykrem położeniu: Wszak integralny masyw tej historji, jej 9 wieków, zmierza k u k a t a s t r o f i e! Upadek państwa jest zdarzeniem tak górującem w historji polskiej, że historyk, którzyby zdarzenie to lekceważył sobie, z wybadania przyczyn jego nie uczynił sobie centralnego zagadnienia historji polskiej dorozbiorowej, (jak odbudowa państwa jest centralnem zagadnieniem porozbiorowej historji), rozprószyłby z konieczności opowiadanie swe w rzeczach mniej ważnych, wogóle pozbawiłby się k r y t e r j ó w w a ż n o ś c i historycznej, nb. na danym terenie, nie dałby wiedzy historycznej żywej, sposobnej służyć jako przestroga dla życia współczesnego.

Upadek państwa tak potężnego był zdarzeniem dziejowem w danej epoce wyjątkowem, więc szczególnie ciekawem dla wszystkich, tem bardziej dla nas, dla pokoleń, które, mimo odbudowy państwa, skutki tamtej katastrofy dolegliwie na sobie czują. Ale ta szczególna waga polskiej k a t a s t r o f y dziejowej, musi odpowiednio zabarwić cały nastrój historyczny: Opowiadający dzieje Polski, o ile, powiadam, nie chce bawić się malowankami dla dzieci, ale wprowadzić ucznia w procesy dziejowe, jak się one rzeczywiście w świetle wszystkich faktów dostępnych przedstawiają, nie może uniknąć pesymizmu: ujście owych procesów — złowrogie.

Koniec wieńczy dzieło. Ale z rozbiorami dzieło nieskończone. Naród przetrwał katastrofę państwa, i mimo wyjątkowego ucisku, pozostał na tyle żywotny, aby zdołać, w chwili sposobnej państwo odbudować. Żywotność swoją narodową podtrzymy-

waliśmy wbrew naporom straszliwym. I oto znów źródło — optymizmu.

Dobre (prawdziwe) przedstawienie historji polskiej musi być więc nawskroś dramatyczne: Cała prawda śmierci i cała prawda życia. Niczego nie ominąć. Bo tylko przez zrozumienie głębokości upadku, zrozumie się całą tragiczną głębokość i zwycięski heroizm sił wydźwigu. Trzeba uczniowi wykazać: Że wolne państwo nie przyszło przez żadne hokus-pokus historyczne, że nie spadło z niczyjej łaski, ale że zostało przez Polaków dobrze zarobione. Oto jaka ma być korzyść moralna ucznia z historji polskiej; ale ta korzyść będzie tem większa, im lepiej się uczeń wczuje w wielki, groźny dramat historji polskiej.

Co za dziwna, niesamowita historja! Już gdzieś na samym wierzchu chwały przychodzą ludzie zamyśleni, którzy napominają i grożą zginieniem:

„O nierządne królestwo i zginienia bliskie"!...

Kiedy się słuchało niedawno, na wawelskim dziedzińcu, tej groźby Ulissa i straszliwych krzyków Kassandry, to się dech w piersiach zatrzymywał na myśl, że to nie teatr tylko prawda: te przeczucia sceniczne były jasnowidzeniem:

„Matko, ty swoich dziatek nie płakać, ale wyć będziesz"!..

Dziwna, paradoksalna, historja: W narodzie lekkoduchów, sangwiników, wygodnickich, jowialskich, zawadjaków serdecznych od trunku — raz po raz akcenty pesymizmu tak daleko widzącego, — tak widzącego. Nie wiem, czy jest inna historja (nowożytna) w równie wysokim stopniu dramatyczna co polska: Jedna nieustanna gra. Gra pomiędzy garstką przodowniczą tych, co się ośmielali być mądrzy, a tłumem wielkim o „czerepach rubasznych". Gra, w której po jednej stronie dojrzysz wybłyski najwyższego patosu odpowiedzialności, a z drugiej nieprzejrzane ćmy głupiej, dobrodusznej albo zgoła bezczelnej prywaty, aż ku krańcom ohydnym prostytucji, po wiele razy brzydszej niż ta kobieca z rogu ulicy, prostytucji mężczyzn, sprzedających za łapówkę ojczyznę i honor. Jeżeli nauka historji to ma być coś więcej niż wkuwanie schematyzmu dat i oderwanych faktów, jeśli to ma być inicjacja w sam wątek historycznego życia, życia konkretnych, po tysiąckroć miłościami i nienawiściami splecionych, jednostek ludzkich — to młodzieniec polski ma być wciągnięty w samo sumienie gigantycznego dramatu: Ma się zarumienić aż boleśnie — za te nogi co przeskoczyły Rejtana i ma zrozumieć rozumem współczucia, że bez tego szaleńca i samobójcy dusza polska nie byłaby pokazała jednego ze swych szczytów: zdolności do rozpaczy ostatecznej nad hańbą ostateczną. Taka historja pełna dynamiki, hucząca dialektyką sił poniżenia i rozkładu i sił godności i organizacji, da uczuć młodemu człowiekowi, że ojczyzna to rzecz niesłychanie zajmująca i rzecz, którą się robi — kosztem olbrzymim; i niejeden poczuje codzienne brzemię długu. Obawiam się, że powtarzam rzeczy, aż zawstydzająco proste; ale czyż wszyscy młodzi ludzie kończący szkołę, mają to dolegliwe, obowiązujące, poczucie, że ojczyzna to nie jakiś martwy inwentarz, rzecz gotowa, ale że ona wiecznie i na nowo wyłania się z rojowiska społecznego wysiłkiem niektórych?

Dramat między masą a przodownikami jest ogólnoludzki. Ale, jeśli historja polska, ze swą wiecznie troskliwą około naprawy Rzplitej myślą jednostek i, naprzeciw niej, tanią i zacofaną dufnością tłumów — daje widowisko owej gry odwiecznej szczególnie wyraziste — to skłania to do wielkiej zadumy. Skąd te kontrasty niebywałe? Skąd tak szeroki odstęp pomiędzy poziomem ogólnym a *optimum?* Skąd tak szczególnie rozpięta — (jakby się biolog wyraził) — „zmienność" rasy? I jeśli eksperyment historyczny tej rasy wypadł kiepsko, to gdzie przypiąć jej „prawdziwą" wartość? Po stronie tamtych jednostek czy po stronie tego ogółu? Czy te jednostki dalekowidzące i odpowiedzialne na tle tej rasy lekkomyślnej są kaprysem natury, czy też przeciwnie — wyrazem jej możliwości utajonych? Czemu więc upadek Polski przypisać, jakiemuś niedołęstwu rasy polskiej (*nb.* rasy „historycznej"), czy też jakimś powodom powierzchownym, przypadkowym?

Ten szczególnie w Polsce wyrazisty kontrast „jednostka — tłum", wykłada się jasno: Byliśmy krajem wolności i demokracji; gdzieindziej tłum, krył się za kulisami historji politycznej; tłum polski miał sposobność pokazać się; tłum polski nie był żadnym wyjątkowo marnym tłumem, był ni mniej ni więcej, tylko tem, czem wogóle bywa tłum; ale coś musiało być w tej masie zdrowego i tęgiego, skoro później tyle z siebie wydobyła mocy, skoro umiała się zdobyć na tak wspaniałą ekspiację! Więc ten oto fakt przyjmując jako punkt wyjścia oceny historycznej, wolno nam ufać, że upadek Polski nie miał swych powodów w niedołęstwie jej rasy, ale tylko w jej strukturze politycznej, nieodpowiedniej do danych warunków dziejowych, — że prawo nasze do dobrego samopoczucia rasowego katastrofą historyczną nie zostało tknięte[1]).

Gdy uczeń już zrozumie, że katastrofalność naszych dziejów wynikła nie z przeciwstawienia słabej rasowo Polski mocnym rasowo zaborcom — ale z przeciwstawienia jednostek przodowniczych, bezsilnych wobec rozpętanego tłumu — to wtedy można już śmiało opowiadać o postępującej prywacie, o postępującem rozbrojeniu się narodu, o postępującym ucisku ludu, o postępującem psuciu się narad publicznych i t. d. Bo zawsze i wszędzie, w każdym czasie, historyk ma możność przedstawić jako wyraz istotnych możliwości rasy, jako świadectwa jej niewygasłej tężyzny, jednostki głęboko sumienne, przewidujące. Ma prawo do optymizmu, optymizmu bynajmniej nie naciąganego, owszem, opartego na najpewniejszem doświadczeniu. Trzeba tylko sobie wyraźniej, niż dotąd, te podstawy optymizmu, zaufania w tężyznę rasy, uświadomić.

Do tego prowadzę: W nauczaniu historji polskiej kierować się surową, nieubłaganą prawdą; tym sposobem świadomość narodowa, intelektualna i moralna, uzyska należytą intensywność. Na prawdę tę składają się dane, budzące pesymizm i budzące optymizm; te ostatnie mają w zasadzie przewagę. Niestety jednak historykowi, ze względów ukazanych właśnie, łatwiej jest dać akcent na stronę pesymistyczną, niż na optymistyczną. Otóż temu automatyzmowi trzeba przeciwdziałać; trzeba przeciwdziałać tembardziej, że weszła w kulturę polską masa żywiołów nowych, częstokroć niechętnych, które należy przekonać, a częstokroć znów

[1]) Renegat najgłębszy (Adam Gurowski) bije w wartość polskiej rasy historycznej (szlacheckiej). Tem samem, odbudowa samopoczucia narodowego kulminuje w dobrem poczuciu, dającem się ująć w terminach „rasowych".

żarliwie czekających na Polskę, które, oby się nie zawiodły! Należy więc dać przeciwwagę pesymistycznym motywom historji polskiej, należy coprędzej policzyć i spisać pamiątki dzielności polskiej. Należy dać młodzieży przed oczy jak najwięcej przykładów polskości mocnej i szlachetnej, jak najprędzej tworzyć polskiego Plutarcha. To pewne: Taki zbiór charakterów polskich, to będzie inwentarz możliwości rasy, którego się zaiste przed nikim nie powstydzimy.

Pozostaje pytanie, ktoby się w takiej „Bibljotece pamięci narodowej“ — (takbym to nazwał) — miał znaleść? Bo przecież liczba tomików w danych okresach wydawania jest ograniczoną, więc należałoby wybrać tych, co najważniejsi. Jakaż zasada tej ważności? Odpowiem bez zbytecznego teoretyzowania: To co najlepiej broni przed zwątpieniem w polskość, co może obudzić najwięcej entuzjazmu, co daje najlepszy przykład, co jest najbardziej zajmujące.

Wyszły przed kilkoma dziesiątkami lat dwie skromne, na szorstkim papierze, książeczki, przekłady z Smilesa p. t. „Pomoc własna“ i „Charakter“. Są to obficie zobrazowane życiorysy różnych bohaterów pracy i życia codziennego. W tej „bibljotece pamięci narodowej“ chciałbym widzieć coś podobnego — tylko na przykładach polskich [2]).

Więc bibljoteka taka miałaby dawać i życiorysy „polityczne“ i, żeby się tak wyrazić „organiczne“. Miałaby pokazać bohaterów walki o mądrość polityczną, o całość Polski, o niepodległość Polski, — i Polaków dzielnych na rozmaitych polach pracy w kraju i poza krajem, w całym świecie. Wieleż pięknych przykładów dostarcza w. XIX, wiek rozproszenia polskiego! Nie opracowana jest dotychczas „organiczna“ historja Emigracji, jak ci ludzie żyli, jak zarabiali, jakie instytucje tworzyli; wiele tu jest szlachetnych i wspaniałych przykładów; jakie były wartości duchowe, zasoby tężyzny i zasoby moralne wygnańców polskich na Syberji, zebrał i pokazał w swej doskonałej książce, którą każdy młody powinien przeczytać, dr. M. Janik [3]); ta książka powinna być wzorem w dziedzinie, o którą tu idzie. Iluż ludzi zbyt mało znanych ogółowi: np. taki Benedykt Dybowski, człowiek silny a dobry, wybitny i encyklopedyczny uczony, oddany patrjota i szlachetny człowiek, olbrzym pracy i energji, wzór cierpliwości, dobroczyńca jakichś tam dzikusów wschodnio-azjatyckich — taki człowiek powinien być znany każdemu Polakowi. Tych wygnańców polskich, którzy nie dali się niedoli wziąć za łeb, ale zakasali rękawy, wzięli się do pracy i nigdy w pracy tej nie zapomnieli o ojczyźnie, a pamiętając o ojczyźnie, potrafili zarazem być najlepszymi i często wybitnymi obywatelami ojczyzny przybranej, przytem pełnymi l u d z k o ś c i, w tem naszem konkretnem, praktycznem znaczeniu — takich Polaków po całym świecie było wielu. Ich zliczyć—ich podać pamięci młodych pokoleń. Trzeba jeszcze do tej Emigracji we Francji wrócić: ona jedna z pośród tylu ówczesnych wolnościowych emigracyj stworzyła trwałe instytucje, a gdyby jeszcze wziąć pod uwagę jej tak obfitą publicystykę—to okaże się, że to pokolenie polskie nieszczędziło nietylko krwi, ale i grosza ubogim— i nietylko było ofiarne, lecz było energiczne, pełne inicjatywy. Co więcej okaże się, że tam było dużo inteligencji wrodzonej, jakkolwiek zapatrywać się na niejeden płód emigracyjnej myśli, przyznać trzeba, że ci ułani, często tylko z maturą, nieraz i bez matury, wzięli się dziarsko do m y ś l e n i a. A to dobry znak...

Wogóle okres walki o niepodległość, dziś przez nastroje współczesnych odpychany, jako „cierpiętniczy“, może być odmalowany w innej nieco, nie tak ponurej jak dotychczas tonacji: do tej pory zależało nam raczej na tem, co Moskal n a m robił złego, nasza postawa była p a s y w n ą raczej, a tu możnaby martyrologję przedstawić od strony aktywnej: jako wyraz h o j n o ś c i ducha; my dzisiaj nie chcemy cierpienia dla cierpienia, dla samej jego piękności, czy mistycznego znaczenia, chcemy celów r z e c z o w y c h, — a tymczasem pokolenia tamte lubowały się w swej cierniowej koronie, wprost wydaje się jakby nie tyle na zwycięstwie w danych walkach im należało, ile na ofierze spłaconej w mękach, i to jest właśnie to „coś”, co dla wielu ze współczesnych tamte czasy czyni niemiłemi. Ale, po pierwsze, poprostu nie wolno nam zapominać tych, co z Polski nazwiska uczynili rzecz tak piękną przed światem i dla nas najpiękniejszą; po drugie, ów kierunek martyrologiczny był aż nadto jako reakcja narodowo-religijna zrozumiały, usprawiedliwiony i w pewnym zakresie zasłużony; po trzecie, wreszcie, to pragnienie ofiary, choćby biernej, pojąć należy jako potrzebę ekspiacji wewnętrznej rasy, która się w dziejach swych politycznych nie popisała: Trzeba było sobie samemu udowodnić, że się daleko padło od dziadów zsybaryciałych, spacyfikowanych i sprywaciałych. Więc i martyrologja polska, obok przykładów pracy polskiej, niechaj znajdzie w polskim Plutarchu miejsce poczesne — ale z akcentami na aktywną, o energji świadczącą stronę ofiary.

Tu przy sposobności, pytanie: Czy opuścić złamanych — (nie ugiętych, bo tych opuścić! — oni swe miejsce znajdą w tej historji jako dramatyczny dysonans)—np. Gosawskiego, który się zabił w więzieniu i t. p.? (L. Zienkowicz w swoich „Żywotach narodowych“ umieszcza go). Zadaniem „Plutarcha“ ma być rejestr tężyzny narodowej: a więc takich tragicznych ludzi należałoby ominąć, o ile tężyzna ma oznaczać tyle, co zdolność do ostania się, przezwyciężenia naporów. Starożytny mógł między bohaterami umieszczać samobójców, ale nasze wartościowanie w tym względzie zmieniło się. A jednak... nigdybym, w każdym razie, nie pominął tu Rejtana, który jest drastycznem, ale ocaleniem honoru swoich czasów. Można rozszerzyć, może zresztą inne podać pojęcie tężyzny: może to też zdolność do napięć patetycznych, do przerażeń, tam, gdzie wielu widzi rzeczy błahe? A następnie: Trzeba zliczyć straty, żeby znać cenę zdobytego; więc nieszczęśliwych a szlachetnych pamięć narodowa nie powinna opuścić:

A dosyć, że się zastanowisz chwilę,
Jaka tam cisza na naszej mogile,
Jak się wydaje przez Boga przeklęta,
A nie zapomnisz ty o nas o Święta!...

(Dok. nast.) KAROL LUDWIK KONIŃSKI

---

[2]) Co oczywiście nie wyklucza, żeby dawać młodzieży budujące przykłady i z pośród obcych! Takiego np. Smilesa wartoby jeszcze raz przedrukować. — Upodobania czytelnicze wyraźnie zwracają się w kierunku biograficznym — i to jest pożądane — byleby nie wypaczyć tego, o co łatwo.

[3]) „Polacy na Syberji“ (Krak. Spółka Wyd.).

„BOGOISKATIEL”

(O TWÓRCZOŚCI DYMITRA MEREŻKOWSKIEGO)

LITERATURA rosyjska w ostatnich dziesięcioleciach ubiegłego wieku — poza taniem społecznikostwem, poza „chodzeniem w lud” — poświęca się zagadnieniom metafizycznym Jest to okres nieograniczonego panowania „poszukiwaczy Boga”. Najwybitniejszym i najbardziej świadomie przypisującym sobie ten tytuł — takim poszukiwaczem czyli „*bogoiskatielem*” jest Dymitr Mereżkowskij.

Syn urzędnika pałacowego, obracający się przeważnie w sferze, która jedyna naonczas mogła rościć pretensje do nazwy elity umysłowej—przyszły „*bogoiskatiel*” rozwijał się i kształcił w atmosferze, jak najbardziej sprzyjającej zapoczątkowaniu pracy literackiej. Zaczął pisać wcześnie, przeważnie wiersze, przyczem obok wybitnie egzotycznych liryków, próbował tematów historycznych, głównie antycznych. Zamiłowanie do historji, w szczególności do dziejów kultury, przesądziło o jego karjerze literackiej. Od chwili ukazania się w druku „Juljana Odstępcy” (1896) powieściopisarz historyczny i metafizyk będą stale się zwalczali w Mereżkowskim— twórcy. Uprzedzając dalsze wywody, należy stwierdzić, że z walki tej niemal zawsze wychodził zwycięsko metafizyk, najczęściej, niestety, ku szkodzie artystycznych walorów dzieł.

Gdy Mereżkowskij stawiał pierwsze swe kroki na polu romansopisarstwa, powieść rosyjska stała na poziomie bardzo wysokim. Swe wartości formalne zawdzięczała przedewszystkiem Turgeniewowi, który wraz z pełnym rozmachu, tytanem twórczym Tołstojem i najznakomitszym może, obok Szekspira, znawcą „tajemnic duszy ludzkiej”, Dostojewskim — tworzył ową wielką trójcę, która patronuje całej literaturze rosyjskiej po dziś dzień. Szczególnie panoszyła się powieść psychologiczna, zazwyczaj dość niewolniczo, a najczęściej bardzo nieudolnie naśladująca Dostojewskiego, niezrównanego mistrza w tym rodzaju literackim. Obok niej obficie, aczkolwiek z miernemi wynikami artystycznemi, powieść społeczna i obyczajowa. Wszędzie jednak rozsiane były zagadnienia metafizyczneł, którym poczesne miejsce na kartach swych dzie, dawali Dostojewskij i Tołstoj. Powieść historyczna, jak w całej Europie zresztą, rozwijała się pod wpływem Walter-Scott’a. Próby stworzenia narodowej powieści historycznej przeważnie zawodziły. Nie udał się zamiar stworzenia cyklu powieści na tle dziejów rosyjskich Mordowcewowi, przypominającemu fizjognomję twórczą Kraszewskiego, w znacznie jednak gorszym stylu. Szczęśliwszym był Michał Zagoskin, którego romanse historyczne cieszyły się wielką poczytnością, przyczem posiadają stosunkowo dużą wartość artystyczną (najcelniejszy z nich: „*Jurij Miłoskawskij*“ na tle epoki wojen z Polską po upadku Samozwańca). Najlepszą niewątpliwie rosyjską powieścią historyczną ze szkoły walter-scottowskiej, a zarazem jednym z najcelniejszych utworów w literaturze rosyjskiej wogóle, jest „Książę Srebrny” Aleksego hr. Tołstoja, romans z czasow Iwana Groźnego.

Powieścią historyczną w wielkim stylu jest dopiero „Wojna i pokój” Lwa Tołstoja. Żadna powieść rosyjska, a mało która z zachodnio-europejskich, może się poszczycić tak imponującem tłem dziejowem (wojny napoleońskie od r. 1805 do końca) i obyczajowem. Wszystkie warstwy społeczne, wszystkie wybitne osobistości historyczne przesuwają się przed czytelnikiem. Staranność i drobiazgowość rzeczywistości dziejowej była czemś zupełnie nowem w literaturze rosyjskiej. Jest też „Wojna i Pokój” pierwszą rosyjską powieścią historyczną, do której autor wprowadził pierwiastek metafizyczny i historjozoficzny. Historjozofja Tołstoja, polegająca na przyznawaniu masom roli motoru dziejów, z wyłączeniem wybitnych jednostek, dosyć słabo umotywowana w powieści, nie wytrzymuje krytyki i wykazuje słabe miejsca autora. Jest tu jednak Tołstoj przedewszystkiem artystą, przed którym Tołstojhistoryk i filozof ustępują na plan dalszy. Inaczej się ma rzecz z Mereżkowskim.

Ambicje stworzenia nowej, udoskonalonej powieści historycznej nie są w jego świadomości twórczej silniejsze od powziętych zgóry założeń metafizycznych i historjozoficznych. Im dalej, tem jaskrawiej wysuwały się owe tendencje na pierwszy plan, zaciemniając Mereżkowskiego-artystę. Nigdy jednak, nawet w okresie tworzenia najbardziej zawiłych traktatów religijno-historjozoficznych, zupełnie być artystą nie przestał. Dwoistość jest charakterystyczną cechą całej jego twórczości, jak, zresztą, całej psychiki inteligencji rosyjskiej, a nawet całego narodu. Rosja — to zbiór najjaskrawszych, karykaturalnych niemal sprzeczności i Rosja, jej kultura, psychika narodu, literatura — to odwieczna teza i antyteza, długo i boleśnie, ale dotąd zawsze napróżno dążące ku syntezie.

Otóż na tak przygotowany grunt, jakim była psychika Mereżkowskiego, najbardziej typowego, być może, inteligenta rosyjskiego, padło ziarno filozofji heglowskiej. I przez całą swą twórczość wytrwale i boleśnie, ale napróżno, będzie szukał Mereżkowskij syntezy — swojego Boga, któregoby przeciwstawił „bogom” dawnym.

Trylogja „Chrystus i Antychryst”, na którą się składają „Juljan Apostata” czyli „Śmierć bogów”, „Leonardo da Vinci“ czyli „Bogowie zmartwychwstali“ i „Antychryst“ czyli „Piotr i Aleksy“, jest cyklem powieści historycznych, które, poza „Wojną i pokojem“, celująca innemi walorami, nie miały równych sobie w literaturze rosyjskiej. A i w dziejach powieści historycznej całego świata zajmują one miejsce niepoślednie. Rozmiłowany w świecie antycznym, autor z rzadkim artyzmem przedstawia zagładę tego świata. I choć Mereżowskij — chrześcijański myśliciel, wie, że nadchodzą czasy nowe, czasy panowania Krzyża, który weźmie pod swe ramiona wszystko, co pozostało ze starego świata, artysta nie może przeboleć upadku klasycznej kultury, zagłady ludzi, którzy uznali tajemnicę bytu w doskonałej harmonji ciała i ducha. Kult ciała, siedliska owej iskry Bożej, jaką jest nieśmiertelna dusza, przewija się przez całą pierwszą powieść i jest jej *leit-motiv*’em. Współczucie czytelnika ani na chwilę nie opuszcza ostatniego pogańskiego cesarza, i choć chrześcijanin, wraz z Jul-

janem zmuszony jest z pogardą i gorzkim wyrzutem patrześć z wysokiego balkonu na gorszące kłótnie [prezbiterów różnych sekt chrześcijańskich. Świadomie, czy nie, uczynił to autor—trudno teraz powiedzieć — ale książka sprawia wrażenie przygnębiające tą pustką, którą nawiewają ruiny pogańskiego świata. I gdybyśmy nie znali historji, zwątpilibyśmy, czy się ostanie teraz cywilizacja i kultura. Bogowie umarli — zamarło wszystko!..

Ale oto druga powieść przenosi nas o jedenaście wieków dalej. Przed oczyma naszemi przesuwają się postaci trzech olbrzymów sztuki: Michała Anioła, Rafaela i Leonarda da Vinci; tego ostatniego najpełniej i w najsilniejszem świetle ukazanego. Widzimy, jak zmartwychwstają owi piękni, dawno i jakby się zdawało, na zawsze pogrzebani bogowie. Ale nie cieszymy się z ich zmartwychwstania naiwną radością dziecka, my, cośmy ich z takim smutkiem grzebali. Jedenaście wieków kultury chrześcijańskiej nauczyły nas wielbić ducha, wyryły w naszych umysłach piętno pogardy świata, kazały bać się na każdym kroku czyhającego szatana. I sam świątły, genjalny, wysoko przerastający współczesnych Lionardo, i jego uczeń ulubiony, spełniający rolę romansowego bohatera utworu, nie wiedzą, czy ci bogowie biali, piękni, doskonali — nie są czasem wcieleniem szatana?... Przez całe dwa grube tomy powieści każe autor obydwu swym bohaterom dręczyć się myślą straszną, nieodpartą, a nie dającą żadnej nadziei: Gdzie Bóg, a gdzie szatan?...

Do końca życia nie dowie się Leonardo, gdzie prawda, choć zdawało mu się, że już osiągnął ją, gdy na ścianie refektarza w Santa Maria delle Grazie dawał Chrystusowi, wieczerzającemu z uczniam, twarz Savonaroli. Umiera zmęczony, zniechęcony, napróżno się starający o rozwiązanie zagadki odwiecznej tezy i antytezy, sam pokonany i ustępujący przed własną antytezą — trjumfującym, zawsze pełnym nienawiści i zazdrości, Michałem Aniołem.

W „Zmartwychwstałych bogach“ artyzm porobił duże ustępstwa spekulacjom metafizycznym autora. Jako dzieło sztuki, jako jednolita całość artystyczna, ustępuje ta powieść „Juljanowi Apostacie“, przewyższa go jednak bogactwem barwnych scen, wspaniale nakreślonych sytuacyj i żywych, historycznych postaci. Scena nocy sabatu jest jedną z najwspanialszych w całej twórczości Mereżkowskiego; prawdziwem arcydziełem jest epizod malowania portretu Mony Lizy.

Z postaci historycznych poza trzema wielkimi artystami i wielkim politykiem — Macchiavellim, na pierwszy plan wysuwają się dwaj Borgiowie. Mereżkowskij, wbrew tradycji, której z taką skrupulatnością trzyma się Klabund w swej książce, poszedł za najświeższemi badaniami historycznemi. Za przykładem niektórych historyków angielskich i rosyjskich, i on „obiela“ ową, tak smutną pamięć mającą, rodzinę. Papież Aleksander VI wprawdzie jest zbrodniarzem, ale jego czyny wypływają raczej z ducha epoki, niż z własnej potrzeby wewnętrznej; nie brak mu cech nawet dodatnich, a niektórych tak bardzo ludzkich, że każą zapomnieć, iż to jest Głowa Kościoła, namiestnik Chrystusa, sprzeniewierzający się swemu posłannictwu, a widzieć w nim tylko słabego człowieka, takiego, jak każdy z nas. Cezary Borgia zaś w powieści jest zrehabilitowany. Poznajemy go, jako pierwszego patrjotę włoskiego, jako poprzednika Cavourów i Garibaldich; jako człowieka, który w myśl głoszonych właśnie zasad Macchiavelli'ego, że wszystkie środki są dobre, o ile chodzi o wzniosły cel, bezwzględnie dąży do wzniesienia fundamentów pod przyszłe państwo włoskie. Tego „potwora“, który przez długie wieki będzie symbolem najwyższej zbrodniczości, doskonale rozumie najgenjalniejszy z jego współczesnych, Lionardo.

Do Rosji początku XVIII wieku prowadzi nas autor w trzeciej części swej trylogji — prowadzi wraz z białym posągiem Wenery, którą podziwiał Juljan, wielbił i nienawidził zarazem Lionardo, a teraz podziwia i wielbi car Piotr, „pierwszy Europejczyk w Rosji“. Nie dlatego ją wielbi, by specjalnie rozumiał się na sztuce, ale ponieważ chce się przeciwstawić staro-rosyjskiej tradycji, szczerze prawosławnej, widzącej w posągach obrazę Boską i szatańską moc. „Piotr i Aleksy“, aczkolwiek daje obraz Rosji na przełomie i walki nowych prądów ze staremi, przeżytemi, ale mocno zakorzenionemi w narodzie tradycjami, próbuje pod szatą powieści przemycić traktat metafizyczno-religijny. I choć tu z pod pióra Mereżkowskiego wyszły niektóre wspaniałe sceny i choć okazał się świetnym znawcą duszy ludzkiej i serca ludzkiego, przedstawiając cały stosunek Aleksego do Eufrozyny — stosunek, doprowadzający do zguby mężczyznę, który zanadto kochał kobietę, niegodną jego miłości, a który właśnie z tego powodu nim gardziła — autora najbardziej zajmuje kwestja, czy skromny mnich Tichon rozwiąże zagadkę, która zaczynała dręczyć Juljana, która przez całe życie męczyła Lionarda — gdzie jest Bóg, a gdzie szatan?... Przez wszystkie współczesne mu systemy religijne i myślowe przechodzi Tichon — od oficjalnego prawosławia przez racjonalizujący protestantyzm, nieubłagalnie dogmatyczny katolicyzm, przez całe mnóstwo sekt, nieraz potwornych i najbardziej przeciwnych naturze ludzkiej — aż wreszcie znajduje swego Boga wtedy, gdy oddaje Mu swe serce na łonie wszechpotężnej przyrody, Jego najwspanialszego dzieła. I podobnie, jak pół wieku przedtem Krasiński, głosi Mereżkowskiej przez usta Tichona o mającym nadejść kościele św. Jana, o trzeciej erze Ducha św. który pognębi Antychrystusa.

I choć czytelnik niekoniecznie jest przekonany o tem, autor trjumfuje, gdyż znalazł wreszcie swoją syntezę. Cała dalsza twórczość Mereżkowskiego to coraz to rosnący i rozwijający się i doskonalący system metafizyczny. O ile jednak chodzi o stronę artystyczną, nigdy już się on nie wzniesie na ten poziom, na którym stał, tworząc „Chrystusa i Antychrysta“, szczególnie dwie pierwsze jego części

Trylogja zyskała Mereżkowskiemu olbrzymie uznanie nietylko w Rosji, ale i zagranicą. Jest czytany, jak mało który z pisarzy rosyjskich; twórczość jego bowiem odpowiada psychice przeciętnego rosyjskiego inteligenta.

W okresie, poprzedzającym rewolucję, pisze dramat p. t. „Paweł I“, również potrącający o zagadnienia religijne, a także wielkie dzieło krytyczne p. t. „Tołstoj i Dostojewskij“. Książka ta uchodziła w Rosji za najlepsze studjum o dwóch wielkich pisarzach. Składa się z trzech części: I Tołstoj i Dostojewskij, jako ludzie, II. T. i D., jako artyści. III. T. i D. jako myśliciele religijni. I tutaj posługuje się autor swą ulubioną metodą.

Tołstoj — to teza, Dostojewskij — antyteza. Pierwszemu przyznaje niezrównaną znajomość lu-

dzi z ich strony biologicznej, drugiemu — ze strony psychologicznej. Rozpowszechniły się w Rosji jego terminy odnośnie do obydwu pisarzy: Tołstoj to wielki jasnowidzący ciała („*wielikij jasnowidiec płoti*“). Dostojewskij zaś ducha („*wielikij jasnowidiec ducha*“) Mereżkowskij zaznacza, że po tych dwóch powinna przyjść synteza. Trudno zgadnąć prawdziwe intencje autora, ale czytelnik, czytając ów rozdział o syntezie, mimowoli nabiera przekonania, że Mereżkowskij ma na myśli siebie.

Powieść „Aleksander I” (w dalszych wydaniach figuruje nazwa „Aleksander I i Dekabryści”) przenosi nas do Rosji okresu popapoleońskiego. I tu panoszy się metafizyka niemal na każdej stronicy, i tu każdy system religijny czy filozoficzny ma swego przedstawiciela (najciekawszym z nich jest Łunin, tak rzadki w Rosji typ zwolennika katolicyzmu i jego kultury) — ale wysoką wartość artystyczną nadaje dziełu wspaniałe przedstawienie owoczesnych stosunków i nastrojów, i świetna galerja typów, od cesarza Aleksandra począwszy, poprzez wielkiego księcia Mikołaja i dwór; przez naczycieli-republikanów, późniejszych dekabrystów: chłodnego, opanowanego pedanta, człowieka o żelaznej woli, protestanta Pestela; marzycielskiego poety Rylejewa; fanatyka Kochowskiego, mistyków Bestużewa i Murawjewa — aż do faworyta carskiego Arakczejewa i świetnego bajkopisarza Kryłowa, odrażającej kreatury w życiu potocznem. Bohaterem powieściowym jest książę Golicyn, który traci swą ukochaną, Zofję Naryszkin, podobno nieślubną córkę cesarza. Śmierć jej sprawia, że Golicyn wpada w mistycyzm, i odtąd przez jego usta głosi autor swe poglądy metafizyczne.

Ciąg dalszy tej powieści p. t. „14 grudnia” ukazał się już na emigracji. Przyszła bowiem rewolucja, witana entuzjastycznie przez inteligencję rosyjską, która jednak rychło zaczęła żałować swych niewczesnych zapałów, gdyż przeciwko niej głównie obruszyła się wściekłość podżeganego przez agitatorów bolszewickich proletarjatu. Mereżkowskij, który jak inni, widział początkowo w rewolucji nadejście nowej ery, powrót złotego wieku, musiał wraz z żoną, znaną poetką Zinaidą Gippius, uchodzić z kraju przed bolszewikami. Po krótkim pobycie w Polsce przeniósł się do Zachodniej Europy, gdzie w Berlinie i Paryżu powstały ogniska kulturalne rosyjskiej emigracji. Tam też napisał i wydał książkę przeciwko bolszewikom p. t. „Państwo Antychrysta”.

„14 grudnia”, zarówno treściowo, jak ideowo, łączy się bezpośrednio z „Aleksandrem I”. Bohaterem głównym i tu pozostaje Golicyn, który za udział w zamachu grudniowym 1825 r. zostaje zesłany na Syberję. Sama próba rewolucji opisana jest po mistrzowsku niemal; niemiłym zgrzytem, charakterystycznym dla autora, są prowadzone podczas akcji, poprzedzającej bitwę, dyskusje „pryncypjalne“.

Rywalizować z Mereżkowskim zapragnął pisarz sowiecki Michał Maricz, przeciwstawiając „14-mu grudnia” swą powieść „Zorza północna”. Należy jednak stwierdzić, że jest to rzecz słaba; niektóre zaś miejsca zakrawają na plagjat.

Na emigracji Mereżkowskij poświęcił się w zupełności studjom religjoznawczym, pisząc i ogłaszając coś bardzo rzadko. Wśród rodaków na wygnaniu cieszył się i nadal wielkiem uznaniem, jako największy z rosyjskich emigracyjnych pisarzy. Rywalizować z nim jednak, jako powieściopisarz historyczny, zaczął Marek Ałdanow, wydając serję „Myśliciel”, złożoną z „9 termidora”, „Czarciego mostu“, „Spisku“ i „Świętej Heleny—małej wyspy“, które to powieści odrazu wyniosły go na czoło rosyjskiej literatury emigracyjnej, a w rzędzie światowych powieściopisarzy historycznych zapewniają mu miejsce obok Walter-Scott'a, Dumasa ojca, Flaubert'a i Sienkiewicza.

Niebawem wydał Mereżkowskij traktat p. t. „Tajemnica trzech, Egipt i Babilon”, w którym próbuje rozprawiać się z chrześcijańską nauką o Trójcy. Zarzuca chrześcijaństwu, że tak bardzo ludzką i niezbędną wprost dla podtrzymania gatunku ludzkiego rzecz, jak stosunek mężczyzny i kobiety, napiętnowało sztuczną pogardą, czem pozbawiło swą wzniosłą naukę charakteru, ogarniającego wszechludzkość. Żąda wprowadzenia do Trójcy osoby żeńskiej, symbolu macierzyństwa. Jako wzór, stawia trójcę egipską (Oziris, Izyda, Horus). W religji też i misterjach egipskich, jak również babilońskich (podania o Tammuzie)—a nie w judaizmie, czy hellenizmie widzi poprzedników chrześcijaństwa. Według niego, misterjum Ozirisa czy Tammuza jest niczem innem, jak usymbolizowaniem tęsknoty ludzkości za Zbawicielem i przyszłej ofiary Mesjasza.

Emigracji rosyjskiej, przeżywającej na obczyźnie okres odrodzenia religijnego w postaci masowego nawrotu do prawosławia, wszystkich jego dogmatów i obrządków (nie można pominąć faktu, że ta reakcja religijna w sferach, które przed rewolucją były zupełnie indyferentne, a nawet wrogie prawosławiu, w dużej mierze jest wynikiem prześladowania religji przez bolszewików, którym emigracja świadomie przeciwstawia własne oblicze duchowe) — nie trafiły do przekonania te wywody, jak również i próby ich artystycznego opracowania w powieściach „Narodziny bogów” (Tutankamon na Krecie) i „Mesjasz”. Pierwsza zasługuje na uwagę głównie dlatego, że próbuje na podstawie danych archeologicznych, historycznych domysłów autora i jego poglądów religijno-filozoficznych zrekonstruować epokę początków kultury śródziemnomorskiej. Według Mereżkowskiego, już w zamierzchłych czasach (za panowania Minosa) na Krecie przeczuwano przyjście Mesjasza i odprawiano krwawe misterja. W „Mesjaszu“ jeszcze wyraźniej występuje idea co do przygotowania gruntu pod chrześcijaństwo przez starożytnych Egipcjan. Faraon Achenaton, znoszący kult bogów egipskich i ustanawiający wiarę w jednego Boga, którego symbolem jest słońce—występuje, jako poprzednik Chrystusa. Powieść jest o wiele słabszą zarówno od trylogji o „Chrystusie i Antychryście“, jak od „Aleksandra I”; nie może też być porównywaną z „Faraonem” Prusa.

Świeżo rosyjskie pisma literackie donoszą, że w języku niemieckim narazie ukazała się nowa książka Mereżkowskiego „Tajemnica Zachodu”. Ma to być podobno potępienie cywilizacji współczesnej i apoteoza prawosławnego chrześcijaństwa. Jeżeli tak jest w istocie, to należy stwierdzić, że siedemdziesiątki bliski rosyjski „bogoiskatiel” znajduje swego Boga tam, skąd wyszedł, przyjmując niemowlęciem chrzest prawosławny.

TEODOR PARNICKI

NA WIDOWNI

Katastrofy lotnicze. — O prawdzie, słońcu i wątpieniu. — Cenzura dawniej i za konstytucji. — Cenzor Iwanowski. — Co minęło, co zostało? — Odzwyczajeni od współpracy z duchem narodu. — Myśl polityczna i jej kultura.

WŁAŚNIE kiedy siadałem do pisania tych kartek, przeczytano mi z „Kurjera", że znowu padło śmiercią dwu lotników. Z nad wieży Zbawiciela spadli na podwórko swego ministerjum i tu śmierć znaleźli dwaj młodzi lotnicy: Euzebjusz Żebrowski i Bronisław Likowski. Przed jakimś tygodniem zginął również na ulicach Warszawy znakomity technik i lotnik inż. Zygmunt Puławski.

Statystyka wszędzie notuje takie wypadki, wszakże gdyby ogłoszono zestawienie (w odsetkach), jak jest z tą martylogją gdzieindziej, może nie z tak ciężkim sercem, pełnem żalu i obaw, liczylibyśmy mogiły młodzieży, ginącej bez chwały.

O stanie naszego lotnictwa mieliśmy nadzieję dowiedzieć się czegoś z procesu mjr. Kubali. Niestety sprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych, a jak wiemy z ogłoszonego w gazetach wyroku, mjr. Kubala, który chciał krytykować stosunki w tej dziedzinie, skazany został na więzienie. Należałoby wnosić, że nie miał racji, ale opinja publiczna bardzoby pragnęła, żeby ktoś przy jakiejś sposobności, a przy drzwiach otwartych, prawdę wypowiedział.

Prawda... Czytelnik się uśmiecha. Ale w biały dzień nie trzeba nigdy wątpić, że za chmurą jest słońce. Nigdy niewiadomo, kiedy chmura się rozedrze. Dobry Polak przedwojenny nigdy nie wątpił; cenzura przestrzegała tylko, żeby się tem zbytnio nie przechwalał. I dziś nie trzeba wątpić.

Jakże stosunki się zmieniły w porównaniu z dawnemi laty! Poglądowo przekonać się o tem można ze stosunku prasy do cenzury. Dawniej, w czasach niewoli, cenzor wykreślał na odbitce korektowej to, co mu się nie podobało, czerwonym atramentem. Dzisiaj trzeba wstrzymać maszynę i wyjąć cały artykuł, albo dwa. Zostają białe plamy, które sprawiają, że szafka z gazetami na ulicy wygląda nieraz, jak wystawa sklepowa w t. zw. „biały tydzień".

Różnica pochodzi stąd, że dawniej nie było mowy o konstytucji i wolności słowa, a dzisiaj to wszystko mamy. Więc dzisiaj schemat rozmowy z cenzurą jest taki:

— Panie radco, co mianowicie nie podobało się panu w artykule?

— Tego mi powiedzieć nie wolno — odrzecze. W Polsce niema cenzury prewencyjnej, istnieje tylko konfiskata. Co się nie podobało, o tem powie sąd, a ja nie mogę łamać konstytucji. Czyż pan chce, żebym łamał takową?

— Czyżbym śmiał, panie radco, do jednej zbrodni przeciw państwu, już popełnionej, dodawać drugą?

Jakaż to głęboka przemiana! Poważny publicysta może być spokojny, że sąd nie pozwoli mu krzywdy uczynić. Publicysta, cieszący się zaufaniem społeczeństwa i mający możność powiedzeniu wielu rzeczy pożytecznych, w zasadzie może swobodnie myśl swoją wypowiedzieć. Dawniej zależało się od kaprysów władzy zaborczej.

Kiedy redagowałem „Głos" w latach 1895—1899, stale miałem do czynienia z Iwanowskim, starszym cenzorem komitetu cenzury. Niemiły był: czarny, suchy, gruźlik, patrzył szparkami, do tego kosemi, uśmiech miał sardoniczny. Polaków nie lubił, rygorystycznie wykonywał obowiązki, słynny był z tego, że nie pił i nie brał łapówek. Bał go się tedy prezes komitetu Jankulio i rzucił go na wydawnictwa ideowe, z których i tak żadnych korzyści nie było. Przywilejem cenzorów bardziej towarzyskich była opieka nad dziennikami zamożniejszemi, skąd przy stosowaniu drobnych szykan można było wiele wycisnąć.

Iwanowski był surowy i przytem dość zamożny, aby sobie na to pozwolić, nawet dumny był ze swej rangi ideowca: pracował nad wzmocnieniem rosyjskiej państwowości w „Prywiślinskim Kraju".

Z cenzorem trzeba się było widywać niemal co tydzień, sposób bowiem wykreślania był bezceremonjalny, a redakcja nie mogła bez pozwolenia czynić żadnej zmiany w celu doprowadzenia artykułu do porządku. Iwanowski miał swój dom na ul. Zielnej i tam pracował. Wizyty były przykre, ale muszę wyznać, że Iwanowski traktował pisarzy polskich z pewnym szacunkiem. Najtrudniej było go przyzwyczaić do tego, że się mówiło do niego z zasady po polsku.

Wykreślił np. tytuł: cóż z tym fantem robić?

Pamiętam nad korespondencją z Winnicy był tytuł: „Ze stepów ukraińskich". Iwanowski wykreślił.

— Panie radco, co panu szkodzi ten tytuł?

— Nie ma już Ukrainy...— rzekł zjadliwie.

— To ja zostawię poprostu: „Ze stepów".

— I stepów już niema.

Niczem mnie tak cenzura rosyjska nie rozjątrzyła, jak potraktowaniem moich książek, które przywiozłem z sobą z zagranicy w r. 1894. Paczka z komory celnej odesłana była do cenzury na Miodową. Musiałem asystować przy jej otwieraniu. Cenzor Drohomirecki (rusin z Galicji Wschodniej aklimatyzowany w Rosji) miał przed sobą księgi, starannie prowadzone *librorum prohibitorum* i tam, o każdej wydanej za kordonem, się informował. Wiele książek odłożył jako skonfiskowane, ale to mniejsza, najboleśniejszy był widok, gdy książkę w zasadzie puszczał, ale ją czyścił. W spisach swoich znajdował wykaz zabronionych kartek i te wydzierał. A że Drohomirecki był złośliwy, więc zanim rzucił do kosza, darł na kawałeczki. Robił to dlatego, żeby woźny nie miał pokusy (jak się to zdarzało) chować tych kartek i sprzedawać właścicielom.

Ze zgrozą asystowałem tej operacji, gdy wyrywał kartki z umiłowanej przezemnie książki Antoniego Małeckiego o Słowackim. Z trzeciego tomu (II wyd. Lwów 1881) wydarł mi kartki 77-78, 243-244, 271-272.

Były to ciężkie czasy dla tych, co je dźwigali. Ale zapytacie, po co się bawię w te wspomnienia. Dla publicysty jest to przecież śnieg zeszłoroczny; przeszłość interesuje, o ile z niej coś pozostało, a Rosjan niema na urzędach, ani tego systemu cenzury. Ja też nie mam zamiaru pisać o cenzurze dzisiejszej, ani ją zestawiać, ale mam

na myśli to, co z tych czasów pozostało — to jest społeczeństwo.

Polak wogóle jako całość, jako duch narodu nie wątpił, aczkolwiek słabo wierzył. Ale była sfera wśród inteligencji bardzo zwietrzała politycznie i moralnie, tworząca na powierzchni życia grząskie piachy. Dziś, kiedy jesteśmy sami z sobą u siebie, powinniśmy mówić sobie takie rzeczy jasno, bo inaczej nie zrozumiemy, dlaczego mamy dzisiaj kłopoty z moralnością i myślą polityczną. Tamte czasy przywykliśmy przedstawiać pod kątem martyrologicznym, dając im takie oświetlenie, że na społeczeństwo polskie pada światłość bohaterstwa. Niestety niewola bardzo psuła postawę polityczną i charaktery; przypomnijmy sobie podnoszoną do wyżyny zasad ugodowość we wszystkich zaborach, która znajdowała swoisty, nieraz pełen obłudy wyraz w stosunkach osobistych. Wiele było materjału, gotowego współpracować z każdem państwem, z każdą władzą.

Najśmielej wobec opinji publicznej zachowywała się arystokracja i plutokracja, zawierająca z Rosjanami stosunki towarzyskie na Mokotowskiem polu wyścigowem; na dole te konfidencje były tajne. Więc i w stosunkach z cenzurą obyczaje bardzo się psuły. Delegowani przez wydawców dziennikarze pili z cenzorami po szynkach dzień i noc. Dochodziło do fraternizowania i wyręczania cenzorów w pracy. Były wypadki, że redaktor dziennika układał się z cenzorem o zastępstwo, sam zakreślał drażliwe ustępy, zaś cenzor tylko podpisywał, a wtedy cenzura była surowsza niż zwykle. Były wypadki, że redaktor w celu pozbycia się niemiłego sobie współpracownika, wskazywał cenzorowi, co było jego pióra, aby potem pokazać wydawcy, że taki współpracownik jest niemożliwy.

Nie brakło ludzi chętnych do współpracy. Nie było wielkiej Panamy, jak sobie żartowano, bo nie było kanału, ale ludzie chętni byli i ten typ został.

Trzeba się było coraz bardziej wystrzegać rozmów poufnych z rodakami, nie pokazywać dokumentów kompromitujących. O wszystkiem wiedziała zaraz policja. I to była strona odwrotna medalu. Rygor opinji publicznej nie pozwalał medalowi temu odwrócić się na wierzch tą stroną złą, a w czasie zamętu wojennego niezmierne nastręczały się trudności do przezwyciężenia, aby lico polskie miało na sobie znamię **polskiej myśli politycznej**, nie cudzej.

Owa polska myśl polityczna na dorobku przeszkadzała wszystkim chętnym do współpracy na przekór. Czy w zaborze rosyjskim, czy austrjackim „współpracownicy“ wszystkich grup, nie bacząc na różnice przekonań społecznych, mrugali na siebie okiem, aby się sprzymierzyć przeciwko ideowemu obozowi narodowemu. Dlatego ten obóz przywykł do walki na wszystkie fronty i niczemu się nie dziwi w czasach, gdyśmy sami z sobą zostali. Cechą zasadniczą jego stała się cierpliwość, z jaką czekać musi rezultatów powolnej kultury, przenikającej w społeczeństwo w miarę wymierania starego, zniszczonego pokolenia.

Rozwój kultury politycznej powoli, ale nieodparcie zmierzać musi ku temu, aby duch narodu nie był postrachem czy widmem nierealnem, aby nie był postponowany i konfiskowany, lecz chlebem był powszednim rzesz i realizował się w myśli politycznej u steru nawy narodowej.

ZYGMUNT WASILEWSKI

KRYZYS SZKOLNICTWA POWSZECHNEGO W POLSCE

ZDAWAŁO się w początkach istnienia odrodzonej Polski, że zdołamy w krótkim czasie stworzyć tyle szkół powszechnych, że **wszystkie** dzieci w wieku szkolnym w nich się pomieszczą. Problem ilościowy szkolnictwa powszechnego nie był uważany za trudny, bo istniał zapał w kierunku organizowania szkół tak we władzach szkolnych, jak w szerokich sferach społeczeństwa. Natomiast więcej uwagi poświęcono zagadnieniom wychowawczym, metodycznym i programowym, krojąc je na miarę bujnego rozwoju szkolnictwa. Tymczasem już po 10 latach spostrzeżono z przerażeniem, że mimo dużych naprawdę wysiłków nie objęto jeszcze obowiązkiem szkolnym wszystkich dzieci i że wedle obliczeń fachowców stan ten będzie się coraz bardziej pogarszał z roku na rok, czyli, innemi słowy, że w razie zachowania dotychczasowego tempa organizacji szkół powszechnych coraz większa liczba dzieci w wieku szkolnym nie znajdzie do nich dostępu i będzie pozbawiona elementarnej nauki szkolnej.

2. Normalnie liczba dzieci rośnie z roku na rok równolegle z przyrostem naturalnym ludności. Wyjątek pod tym względem stanowił okres od 1921/22 do 1927/8, w którym to okresie[1]) były w wieku szkolnym dzieci, urodzone w latach 1915 — 1921, gdy z powodu działań wojennych mężczyźni byli poza rodzinami i dlatego liczba urodzeń dzieci była z roku na rok mniejsza. Jeżeli w roku 1921/22 liczbę dzieci w wieku szkolnym można przyjąć na około 5 miljonów, w następnych latach spada ona: przez 4 lata po 300.000, a przez ostatnie lata około 100.000, dochodząc w roku 1927/28 do liczby 3.735.895[2]). Ten rok szkolny (1927/28) był rokiem przełomowym co do ilości dzieci, bo od następnego roku (1928/29) zaczęła się już zwyżka ilości, która wobec ustępowania ze szkoły, a raczej z wieku szkolnego roczników wojennych[3]) podnosi się z roku na rok wprost gwałtownie do tego stopnia, że, podczas gdy w r. 1928/29 mieliśmy 3.750.329 dzieci w wieku szkolnym[4]), to w r. 1932/33 będziemy mieli 4.963.458[5]), a w r. 1939/40-6.071.193 dzieci. W ciągu więc lat 11 (od roku 1921/22 do 1932/33) liczba dzieci w w. szk. początkowo spadała (przez 6 lat), a potem podnosi się do pierwszej wysokości (przez 5 lat), wzrastając w następnych 7 latach (do r. 1939/40) przeszło o 1 miljon.

---

[1]) W. Sikora, Stan szkolnictwa w Polsce, Kraków 1928, TSL, str. 17.

[2]) Rocznik Statystyki R. P. za rok 1929 str. 386. Moje obliczenia są nieco odmienne, choć zgodne z Rocznikiem w zasadniczej linji.

[3]) co przedstawiłem w mojej broszurze.

[4]) Rocznik St. *l. c.*

[5]) M. Falski. Wyniki spisu dzieci w czerwcu 1926. Warszawa 1928. str. 61. Tu już dodaję, że cyfry, podane przez p. M. Falskiego na podstawie spisu dzieci z czerwca 1926 r., uważam za małe w stosunku do rzeczywistości, gdyż wedle mego przypuszczenia, na podstawie naturalnego przyrostu ludności w Polsce, przyrost dzieci w wieku szkolnym będzie nieco większy, o jakieś 200 lub 250 tysięcy. Fakt ten jednak nie zmienia zasadniczo istoty rzeczy i na nasze rozważania nie ma decydującego wpływu.

3. Ażeby odpowiedzieć sobie na pytanie, czy potrafimy te wszystkie dzieci, których liczba będzie coraz bardziej rosła, rozmieścić w szkołach powszechnych, przypatrzmy się dotychczasowym naszym wysiłkom pod tym względem. Jak widać z załączonej tabeli, staraliśmy się w ciągu lat ubiegłych coraz większą liczbę dzieci w wieku szkolnym umieścić w szkołach, gdyż, podczas gdy w r. 1921/2 uczęszczało do szkół powszechnych zaledwie 62.9% dzieci w wieku szk., to w r. 1925/6 ów % wynosił już 82.6, a w r. 1928/9 - 92.6%, w r. 1929/30 89.8%. Przytem zważyć należy, że kilka % młodzieży do lat 13 włącznie uczęszczało do szkół średnich i innych, wobec czego procent młodzieży, objętej nauką szkolną, podnosi się o jakieś 2 lub 3 w każdym roku. Oczywiście równolegle z tem musiało iść także zwiększenie liczby nauczycieli, która w ciągu lat 10 (od 1921 do 1930) wzrosła o 51.3% (z 50.380 na 76.247). Aczkolwiek liczba szkół zmniejsza się z 27.000 na 26.000 (okrągło), to jednak jest to tylko zjawisko pozorne, powstające skutkiem komasacji szkół tj. łączenia szkół niższego stopnia organizacyjnego w szkoły wyższego stopnia. Nie ulega kwestji, że oddziałów i izb przybywa coraz więcej z roku na rok, o czem świadczy coroczny przyrost liczby nauczycieli.

4. Gdyby liczba dzieci w wieku szkolnym zwiększała się w następnych 10 latach (1931—1940) nieznacznie, toby problem organizacji szkolnictwa powszechnego nie przedstawiał się zbyt groźnie. Ale przyrost dzieci w rozpoczętem już dziesięcioleciu będzie bardzo znaczny, bo będzie wynosił w latach 1931, 1932, 1933 przeciętnie rocznie po 8.42% w latach 1934, 1935 i 1936 corocznie po 4.30%[1]), w latach 1937, 1938, 1939 i 1940 po 2.09%. Największy więc stosunkowy przyrost liczby dzieci przypada na obecny rok i najbliższe 2 lata. Jeżeli go nie opanujemy, będziemy mieli duże falangi analfabetów. Wszak już w r. 1929/30 nie uczęszczało do szkół powszechnych 315,950 dzieci (przypuszczając, że około 100.000 dzieci chodzi do szkół średnich i innych), a w r. 1930/31 nie pobiera nauki szkolnej prawie ta sama ilość dzieci. Do roku 1940 trzebą będzie umieścić w szkołach około 2 miljonów dzieci[2]) ponad liczbę dzieci z r. 1930, a około 2½ miljona ponad liczbę uczniów z r. 1930.

Z poszczególnych dzielnic państwa największy przyrost dzieci będą miały corocznie do r. 1933 województwa wschodnie (12.51%), południowe (12.02%) i zachodnie (7.39%), podczas gdy ten przyrost w woj. centralnych będzie wynosił tylko 6.95% i w woj. śląskiem 6.79%. W następnych 3 latach (1934—1936) także w woj. wschodnich i południowych będzie się przedewszystkiem zwiększała znacznie ponad ogólną normę liczba dzieci. Stąd w tych województwach zagadnienie organizacji szkolnictwa powszechnego będzie niezmiernie ważne, o ile te województwa mają dotrzymać kroku w tym względzie reszcie państwa.

Jest rzeczą zrozumiałą, że największy przyrost liczby dzieci obejmować będzie z jednej strony wsie, bo w miastach zawsze przyrost naturalny ludności jest mniejszy od przyrostu na wsi, a z drugiej strony roczniki najmłodsze (więc dzieci 7, 8, 9 letnie) z powodu wzrastającej znacznie z roku na rok ogólnej liczby ludności w Polsce.

5. Dla tak znacznej ilości dzieci potrzeba ogromnej ilości nauczycieli. Wedle obliczeń dotychczasowego stanu rzeczy w naszych szkołach, przypada na 1 nauczyciela około 50 dzieci. Stąd, chcąc już w r. 1931/2 wszystkim dzieciom w wieku szkolnym dać możność uczenia się, musielibyśmy mieć 91.763 nauczycieli, a zatem o 12.563 więcej, niż w r. 1930/1. Z budżetu jednak na r. 1931/2, wynika, że w r. 1931/2 będziemy mieli najwyżej 80.586 nauczycieli, a więc o 11.177 mniej, niż potrzeba. W ten sposób realizacja powszechnego nauczania jest odkładana z roku na rok, co powoduje narastanie coraz nowego pokolenia analfabetów w ogromnej ilości. Dla normalnego rozwoju szkolnictwa powszechnego jest potrzebny następujący przyrost liczby nauczycielstwa: w r. 1932/3 — 23,1%, w roku 1933/4 — 4,8%, w r. 1934/5 — 4,04%, w r. 1935/6 — 3,5%, w r. 1936/7 — 2,2%, w r. 1937/8 — 1,8%, w r. 1938/9 — 2,6%, w r. 1939/40 — 1,5%. Zwiększaniu się liczby nauczycielstwa jesteśmy w możności podołać, gdyż z naszych seminarjów nauczycielskich wychodzi corocznie od lat 3 ze świadectwami dojrzałości około 6.000 kandydatów, przyczem ewentualne braki mogą zapełnić maturzyści gimnazjalni.

6. Większy kłopot przedstawia sprawa zdobycia dla nowych szkół t. zw. izb lekcyjnych, których oczywiście potrzeba będzie w ogromnej ilości. Licząc na 1 izbę 60 uczniów, potrzebować będziemy izb lekcyjnych: w r. 1932/3—82724, w r. 1933/4—86697, w r. 1934/5—90203, w r. 1935/6—93395, w r. 1936/7—95456, w r. 1937/8 - 97161, w r. 1938/9 - 98020, w r. 1939/40 — 101,185. W r. 1925/6 mieliśmy 55966 izb lekcyjnych, z czego 32700 we własnych budynkach, a 23266 w budynkach wynajętych. Od tego czasu niewątpliwie zbudowano pewną ilość budynków szkolnych, jednak wobec małych funduszów, przeznaczonych na ten cel w budżetach państwowych (w r. 1930/1—2 milj., w r. 1931/2 — 1 milj. zł), nie zdołano z pewnością zaspokoić nawet najkonieczniejszych potrzeb. A jednak jest to sprawa może najważniejsza w obecnej dobie, bo od jej należytego rozwiązania zależy zdrowie przyszłych pokoleń. W budynkach niewłaściwych szerzą się choroby wśród dzieci i nauczycieli, szczególnie gruźlica. Po zwalczeniu kryzysu gospodarczego powinny wszystkie czynniki, a więc Rząd, Sejm i społeczeństwo poświęcić rozwiązaniu tego zagadnienia najbaczniejszą uwagę. Nie trzeba budować pałaców, należy się ograniczyć do programu minimalnego, ale musimy go wykonać rychło, jeżeli następne pokolenia, trapione gruźlicą, nie mają nas przeklinać.

7. Koszty budowy izb lekcyjnych, wobec ogromnego ich zapotrzebowania, będą niewątpliwie znaczne, ale te inwestycje, aczkolwiek nieproduktywne w sensie gospodarczym, są konieczne dla zdrowia całych pokoleń. Należy na ten cel zaciągnąć pożyczkę zagraniczną i wewnętrzną, gwarantowaną majątkiem gmin i spłacaną przez gminy w ciągu lat 40—50. Obliczono,[1]) że koszt budowy 1 izby lekcyjnej łącznie z mieszkaniem dla nauczyciela (600 m³ + 242 m³) wyniesie 43.320 zł. Biorąc pod uwagę konieczność budowy do roku 1939/40—60.000 izb z mieszkaniami dla nauczycieli, musielibyśmy wydać na ten cel 2 miljardy 601 milj. zł. Rozkła-

[1]) M. Falski: Wyniki spisu dzieci, str. 59.

[2]) Przypuszczam, że będzie w roku 1940 około 6.250.000 dzieci.

[1]) M. Falski: Wyniki spisu dzieci, str. 91.

SZKOLNICTWO POWSZECHNE (PUBL. I PRYWAT.)

	1910/11	1920/1	1921/2	1922/3	1923/4	1924/5	1925/6	1926/7	1927/8	1928/9
Ludność.			27201342	27471184	27941243	28374613	28809570	29293996	29638097	29996646
Dzieci w wieku szkolnym			5075166 *e*	4851511 *f*	4511449	4230000	3919621	3809254	3735895	3750329
Uczniów.	2680497 *b*	2971600 c	3197008 *b*	3208352 *d*	3261307	3237340	3239935	3344453	3362801	3474582
% liczby uczniów w stosunku do liczby dzieci w szk. . . .			62.9	66.1	72.1	76.5	82.6	87.8	90	92.6
Izby lekcyjne. . . .		41849					55966 *i*			59083(?)
Na 1 izbę uczniów. .		71					57.8			58.8
Nauczyciele	40000(?)	50380 *c*	57158 *b*	62003 *d*	65555	66176	69046	68413	70184	73073
Na 1 naucz. uczniów.	67(?)	59	56	52	49	49	47	49	48	47
Szkoły powszechne .	19500 *b*	25621 *c*	27414 *b*	27384 *d*	27448	27414	27389	26579	26476	26592
Na 1 szkołę uczniów.	137.4	115.9	116.6	117	118.8	118.09	118.2	125.8	134.5	131.6

a Rocznik Stat. 1930 str. 5. *b* Rocznik Stat. 1924 str. 217. *c* Rocznik Stat. 1923 str. 158. *d* Rocznik Stat. 1929 str
czenia autora. *i* M. Falski. Potrzeby szkolnictwa powszech. Warszawa 1929, tabl. III. 32.700 izb w budynkach własnych

dając ten wydatek na 8 lat, musielibyśmy corocznie wydać po 325.125.000 zł.

8. W tym wypadku budżet szkolnictwa powszechnego przedstawiałby się w r. 1932/3 następująco:

a) wydatki osobowe i niektóre rzeczowe (licząc po 3.500 zł. na 1 naucz.)	347.441.500 zł.
b) na budowę 7.500 izb	325.125.000 „
Razem . .	672.566.500 zł.

Wobec zwiększania się ilości nauczycieli i podnoszenia się stopnia ich poborów rosłyby corocznie wydatki osobowe państwa. W r. 1939/40 budżet wydatków na szkolnictwo powszechne przedstawiałby się następująco:

a) wydatki osobowe i niektóre rzeczowe (po 3.800 zł na nauczyciela)	461.411.200 zł.
b) na budowę 7.500 izb	325.125.000 „
Razem . .	786.536.200 zł.

Obecnie istnieją projekty przerzucenia różnych wydatków szkolnych z państwa na gminy. Gdyby się to nawet stało, jest to obojętne dla zagadnienia wydatków na szkolnictwo powszechne, bo w jednym i drugim wypadku pieniądze pochodzą od społeczeństwa, a tylko droga zbierania ich, a raczej: tytuł prawny jest różny. Mnie chodzi tylko o to, aby zwrócić uwagę społeczeństwa: 1) na to, że wydatki osobowe będą się stale zwiększały i dojdą w r. 1939/40 do kwoty prawie półmiljarda zł., i 2) na konieczność budowy szkół, mimo ogromnych, bo 1½ miljarda wynoszących wydatków, jakie nas do r. 1939/40 czekają.

9. Ale kryzys obecny szkolnictwa powszechnego polega nietylko na tem, że musimy znaleźć ogromne fundusze na budowę szkół i na wydatki osobowo-rzeczowe, a w dzisiejszem położeniu gospodarczem nie wiadomo, skąd je wziąć, ale także i na tem, że w organizacji szkół musimy corocznie docierać do coraz mniejszych miejscowości, w których liczba dzieci nie przekracza ustawowej normy 40 dzieci, gdy tymczasem dotychczas istniała raczej tendencja organizowania szkół w miejscowościach większych lub łączenia małych miejscowości w jeden obwód szkolny. A tą ostatnią metodą nie potrafimy doprowadzić do objęcia wszystkich dzieci obowiązkiem szkolnym. Skupienia bowiem ludności w naszem państwie są z jednej strony dość liczne, a z drugiej strony dość małe. Według spisu dzieci z czerwca 1926 [1]) mamy w całej Polsce 98.758 miejscowości, z czego w woj. centralnych 48.461, we wschodnich 29.505, w zachodnich 11.282, na Śląsku 666, w południowych 8.844. Oczywiście nie we wszystkich miejscowościach jest jednakowa liczba dzieci w wieku szkolnym, a są nawet takie, w których dzieci w wieku od lat 7—13 w r. 1926 nie było zupełnie, a mianowicie:

5.708	miejsc.	miało	0	dzieci	w w. szk.
34.421	„	„	1—10	„	„
17.961	„	„	11—20	„	„
17.647	„	„	21—40	„	„
7.239	„	„	41—60	„	„
6.240	„	„	61—100	„	„
5.971	„	„	ponad 100	„	„
1.571	„	„	nieznaną liczbę.		

A zatem zaledwie 19.450 miejscowości (19.59%) miało taką liczbę dzieci w wieku szkolnym, która odpowiadała przepisom ustawy, reszta tj. 79.308 miejscowości (80.41%) miała mniejszą od 41 liczbę dzieci, a wśród nich 5.708 miejscowości nie miało zupełnie dzieci w wieku szkolnym. Ponieważ w wojew. śląskiem i w wojew. południowych skupienia ludności są największe, przeto także w tych województwach był w r. 1926 i jest obecnie znaczny procent miejscowości z wielką ilością dzieci w wieku szkolnym, a mianowicie na 100 miejscowości przypadało:

	z ilością dzieci: 0—40	41—60	61—100	ponad 100	liczba nieznana
w woj. śląskiem	34%	7.2%	15%	43.8%	—
w woj. południow.	33%	12.8%	21%	33%	0.2%

Natomiast w woj. centralnych, wschodnich i zachodnich na 100 miejscowości 75.5—88.3% miało 0—40 dzieci, a reszta tj. 24.5—11.7% liczbę dzieci wyższą ponad 40.

[1]) M. Falski, Wyniki spisu dzieci, str. 15 i n.

W CIĄGU 29 LAT (1910/1 do 1939/40).

1929/30	1930/1	1931/2	1932/3	1933/4	1934/5	1935/6	1936/7	1937/8	1938/9	1939/40
30408247	30737448*a*	31137034	31541815	31951858	32367231	32788004	33214248	33646032	34083430	34526514
4107689 *g*	4240903 *e*	4588144	4963458	5201834	5412178	5603716	5727399	5829678	5981204	6071193
3691739 *g*	3834250(?)	402930(?)	4936458	5201834	5412178	5603716	5727399	5829678	5981204	6071193
89.8	90.4	87.8	100	100	100	100	100	100	100	100
			82724	86697	90200	93395	95456	97161	98020	101186
			60	60	60	60	60	60	60	60
76247 *g*	78250(?)	80586(?)	99269	104036	108243	112074	114544	116593	119624	121424
48.5	49	50	50	50	50	50	50	50	50	50
26539	27387(?)	29846(?)	38180	40014	43297	44829	47728	48580	49843	50593
139.1	140	135	130	130	125	125	120	120	120	120

387. *e* Falski. Wyniki spisu dzieci str. 60 i 61. *f* Rocznik Stat. 1929 str. 385. *g* Rocznik Stat. 1930 str. 373 i nast. *h* Obli-
23.266 izb w budynkach wynajętych.

Z powyższego wynika, że w woj. śląskiem i w woj. południowych, wobec znacznych ilości dzieci w poszczególnych miejscowościach, szkoły powszechne mogą mieć dość wysoki stopień organizacyjny. Natomiast w innych województwach szkoły powszechne muszą mieć niższy stopień organizacyjny, bo nie można w nich skupić większych ilości dzieci, chyba przez łączenie kilku miejscowości w 1 obwód szkolny, co znowu utrudnia dzieciom przez znaczną część roku (jesień, zima, wiosna) uczęszczanie do szkoły. Już w poprzednich mych artykułach („Myśl Narod". z r. 1930, Nr. 37 i 38) wykazałem, że szkolnictwo o niższym stopniu organizacyjnym nie jest groźne dla kultury narodu, na którą składa się wiele innych czynników, że natomiast groźne jest dla niej pozbawienie dużej ilości dzieci nauki szkolnej. I stąd uważam za rzecz celową taką organizację szkolnictwa, która dotrze ze szkołami nawet do najmniejszych miejscowości. Tam, gdzie jest ustawowa liczba dzieci, powinno tworzyć szkoły państwo, tam, zaś, gdzie jest mniej dzieci, niż 40, powinny się zająć organizacją szkół towarzystwa społeczno-oświatowe.

Nie ulega kwestji, że wobec przyrostu naturalnego ludności w Polsce będzie się także zwiększała ilość miejscowości z ustawową liczbą dzieci w wieku szkolnym, że zamiast 20.000 miejscowości (z czerwca 1926) może mamy już nawet obecnie 30.000 lub 40.000 takich miejscowości, które odpowiadają warunkom ustawowym. Tem łatwiej będzie w nich organizować szkoły powszechne. Ale mnie chodzi o to, że ta reszta miejscowości, która procentowo jest znaczna, nie może być także pozbawiona szkół dla tych dzieci, które w nich mieszkają.

Na załączonej tabeli wprowadziłem umyślnie rubrykę, w której obliczyłem, ilu uczniów przypada w danym r. szk. na 1 szkołę. Pragnąłem wykazać, że, im gęstsza jest sieć szkół, tem mniej dzieci przypada na 1 szkołę powszechną. A zatem chcąc dotrzeć ze szkołami do coraz mniejszych miejscowości, musimy tworzyć tych szkół coraz więcej, nadając im taki stopień organizacyjny, jakiemu odpowiada liczba uczniów. Kto wie, czy obecne normy ustawowe co do stopnia organizacyjnego szkół nie będą musiały być znacznie podniesione.

10. Wobec tego, że a) conajmniej 70.000 miejscowości w Polsce nie ma szkół powszechnych, b) że potrzeba w najbliższych latach na budowę szkół 2 miljardów 600 miljonów zł., c) że wydatki osobowo-rzeczowe będą stale wzrastały tak, że w r. 1939/40 wyniosą około pół miljarda zł., wołam na alarm: zmniejszmy wiele innych wydatków państwowych, samorządowych i społecznych, a zdobądźmy się na budowanie szkół i na utrzymywanie nauczycieli, dla wzrastającej liczby dziatwy szkolnej, a nadto opracujmy taki plan organizacyjny szkół, któryby ułatwił wszystkim dzieciom w wieku szkolnym dostęp do szkół powszechnych. Bo to zagadnienie nie jest tylko zagadnieniem analfabetyzmu literalnego, ale w znacznie większej mierze jest ono zagadnieniem analfabetyzmu obywatelskiego.

WINCENTY SIKORA

NAUKA I LITERATURA

NIEMCY GOTOWE DO WOJNY

Ukazał się przekład polski Jerzego Herniczka książki Karola du Hemme i Huberta Jacques „Niemcy gotowe do wojny" (Poznań, K. Rzepecki i Sp.).

W dzisiejszym okresie systematycznego usypiania opinji publicznej, dobrze jest od czasu do czasu spojrzeć w oczy prawdzie. Książka zwraca się do Francuzów, jednak wszystko, co się w niej mówi, stosuje się conajmniej w równej mierze do nas.

Autorzy drogą systematycznego odtwarzania faktów, jakie bezsprzecznie miały miejsce, cytując dokumenty w brzmieniu autentycznem, udowodniają w sposób nie dający się obalić, iż charakter zaborczy Niemiec, ich dążenia do zapanowania nad światem nie uległy żadnej zmianie. Niemcy z szybkością godną podziwu wracają do dawnej potęgi, ku czemu nie mało przyczyniły się błędy, popełnione przez zwy-

ciężców w Wielkiej Wojnie, i już dzisiaj stanowią poważne zarzewie niebezpieczeństwa, grożącego powszechnemu pokojowi, niebezpieczeństwa, które z każdym dniem wzrasta. Stawiając tezę konsekwentnego dążenia Niemiec do ostatecznego rozprawienia się z Francją, autorzy sięgają wstecz aż do czasów bezpośrednio po pogromie Francji w 1870 roku.

Poruszają szereg wypadków, które nie doprowadziły do wywołania przez Niemcy konfliktu, jedynie dzięki temu, że w ostatniej chwili konjunktura nie wydawała im się pomyślną, i zatrzymują się nieco dłużej na okresie bezpośrednio poprzedzającym wybuch Wojny Światowej, kiedy Niemcy, przekonane o swej przewadze militarnej, całą siłą parły do wojny.

Dają temu wyraz cytowane przez autorów raporty ówczesnego ambasadora Francji w Berlinie p. Cambon'a Następuje katastrofa w Sarajewie, którą Niemcy postanawiają wyzyskać i działając bezpośrednio, bądź też kierując posunięciami austro-węgierskiego „wasala" z żelazną konsekwencją dążą do wybuchy wojny i następnie prowadzą ją z niebywałem w czasach nowożytnych barbarzyństwem. Dzisiaj, kiedy niestety nie tylko w Niemczech mówi się coraz głośniej o obustronnej odpowiedzialności za wywołanie burzy dziejowej, dobrze jest przypomnieć sobie zacytowane przez autorów brzmienie lapidarne listu, podpisanego przez p. Clemenceau w imieniu państw sprzymierzonych, i skierowanego do przewodniczącego delegacji niemieckiej, a stwierdzającego czarno na białem winę i odpowiedzialność Niemiec.

Przechodząc następnie do okresu powojennego, autorzy bez ogródek podkreślają wielorakie objawy złej woli w Anglji i Stanach Zjednoczonych w stosunku do Francji, oraz wprost samobójczą politykę Brianda, opierającą się na utopji ułagodzenia Niemiec, drogą wciąż nowych ustępstw, konsekwentnie używanych przez drugą stronę na rzecz obejścia przepisów, niedotrzymania umów, zbrojenia się wbrew wszelkim klauzulom i przygotowywania odwetu.

A wiec znakomicie prowadzona robota konstrukcyjna Generała Seeckta — Szefa Sztabu przy ministrze Spraw Wojskowych Rzeszy. Wytężona praca w laboratorjach chemicznych na rzecz nowych wynalazków w dziedzinie gazów trujących. Niebywały rozwój lotnictwa. Szeregi fabryk tworzonych poza granicami Niemiec. Wysokość budżetu jawnego i ukrytego na rzecz t. zw. obrony państwowej, Towarzystwa przysposobienia wojskowego, umożliwiających według rzeczoznawców francuskich i angielskich postawienie w razie potrzeby całego narodu niemieckiego na nogi z bronią w ręku. Wreszcie współdziałanie Niemiec w tworzeniu potęgi militarnej Sowietów, których zadaniem w razie wojny byłoby unieruchomienie wschodniej sojuszniczki Francji, Polski.

Autorzy kończą apelem do swoich rodaków, ażeby nie dawali się uśpić mrzonkom opierania się o werdykty Ligi Narodów i t. p., gdyż „Francja musi liczyć wyłącznie na własne siły i zabezpieczać się systemem sojuszów — jeżeli pragnie szczerze, aby nie spotkał jej straszny cios i nie została pewnego dnia wykreślona z rodziny mocarstw europejskich".

Polecamy gorąco książkę przedewszystkiem tym naszym „politykom", którzy z lekkiem sercem wypowiedzieli się za ratyfikacją umów likwidacyjnej i handlowej z Niemcami w ich brzmieniu proponowanem.

F. R.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

W pięknie wydanej (przez R. Wegnera w Poznaniu) książce opowiada p. Adam Czartkowski dzieje Księżny Łowickiej. (Portret biograficzny (1791—1831) z 15 ilustracjami, str. 168). W pracy swojej, poświęconej Joannie z Grudzińskich księżnie Łowickiej, żonie W. Ks. Konstantego, korzystał autor z licznych wspomnień oraz świadectw, dotyczących przedmiotu, znajdujących się w rozmaitych „pamiętnikach", odnoszących się do epoki Królestwa Kongresowego, a także z materjałów (między innemi z korespondencji Ks. Łowickiej z matką i siostrami i t. p.), przechowujących się w zbiorach prywatnych. Po sumiennem, zgodnem z rzeczywistością opowiedzeniu żywota Ks. Łowickiej, autor w końcu stwierdza że życie jej nie obfituje w wiekopomne czyny i nie roztacza przed nami efektownych sytuacyj. Nie można jednak — powiada — nie przyznać jej tego, co się jej bezwzględnie należy, mianowicie, że życie jej zeszło na spełnianiu obowiązków w stosunku do Boga, do matki, do męża. Autor nadto jest zdania, że Joanna Grudzińska, wychodząc za mąż za W. Ks. Konstantego, spełniła także swój obowiązek względem własnego kraju, była więc nietylko dobrą katoliczką, dobrą córką, dobrą żoną, lecz i dobrą Polką. Na to przytacza autor parę dowodów, które wszakże nie należą do zupełnie przekonywających. Że Ks. Łowicka była „dobrą Polką" — temu raczej można wierzyć, gdy się zważy jej bezinteresowność, nie wyzyskiwała bowiem wyjątkowego stanowiska swego dla własnych ambicyj i korzyści. (W. J.)

*

Omawiana przez nas niedawno „Makryna" Antoniego Waśkowskiego została przez teatr im. Słowackiego w Krakowie zakwalifikowana do wystawienia na scenie. Premjera odbędzie się zapewne w najbliższym sezonie teatralnym. Będzie to pierwsza — że tak się wyrazimy — praktyczna próba dramatycznych uzdolnień poety, który dotychczas w książkowych jedynie edycjach przedstawił szerszej publiczności już cztery utwory dramatyczne („Sąd", „Lel i Polel", „Dopust" i „Makryna"). Piąty utwór ukazał się właśnie teraz nakładem księgarni S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie. Jest to jednoaktowa tragedja p. t. „Kapłanka".

Rzecz ta przenosi nas w atmosferę „Konrada Wallenroda", a poniekąd i „Mindowy". Bohaterem tragedji jest mistrz krzyżacki Winrich, żyjący w grzesznym stosunku z porwaną przez siebie młodą kapłanką litewską. W zapamiętaniu swojem nie zważa on nietylko na śluby zakonne, ale i na karcące słowa papieskiego legata, który go wzywa do pokuty i do zerwania ze służebnicą bogów pogańskich; namiętność ku niej doprowadza go do tego, że ośmiela się urągać Rzymowi i wierze chrześcijańskiej, której miał być rycerzem i obrońcą. Kapłanka korzysta z tego zaślepienia Winricha i kusząc go czarem swej krasy i młodości, spełnia najgorętszy ze swych zamysłów: zemstę nad tym, który spalił chramy jej bogów, wymordował jej plemię, a ją samą wprowadził w niewolę. W chwili, gdy najbardziej zdaje się powolną jego namiętności, wykonywa ową zemstę: „Z nieuleczalną tu przyszłam zarazą, kochanka bogów — a więcej — niczyja!! Miłość przyniosłam na łonie!" — i rozdarłszy szatę, ukazuje schowaną na piersiach bogom poświęconą żmiję, która Winrichowi zadała ukąszenie śmiertelne... Przypomina się jakby Almanzor, co pocałowaniem jad pożerający wszczepił w duszę Hiszpanów... Winrich wpada w szał, który uosabiają prześladujące go widma: Strachu i Lęku. Odtrącony przez Boga, wyklęty i osądzony przez zgromadzenie braci zakonnych, umiera w męczarniach, wołając: „Pierw, nim dosięgnie mnie wyrok człowieka, sięgnął mnie Bóg". Katastrofy dopełniają straszne, a złowróżebne dla zakonu krzyżackiego zjawiska, wśród których największą trwogą przejmują rycerzy krzyżowych widma skrzydlatych wajdelotów oraz zwycięskich rycerzy Grunwaldu.

Dramat oparty jest na wzorach greckich: akcja jest skoncentrowana na kilku tylko momentach tragicznych i na niewielkiej ilości osób; występuje i chór (rycerzy krzyżackich), podkreślający i komentujący wagę pewnych epizodów. W języku i w szacie graficznej dramatu znać dość silny wpływ Wyspiańskiego. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W Londynie zmarł jeden z najznakomitszych powieściopisarzy doby współczesnej, ceniony również w zakresie twórczości dramatycznej, Arnold Bennet. Zadziwiająco bystry i wrażliwy obserwator życia, świetny malarz obyczaju, obdarzony subtelnym a niezawodnym zmysłem humoru, pozostawił szereg dzieł, które zajmować będą niewątpliwie trwałe miejsce w historji literatury angielskiej. Na język polski tłumaczono jego powieści: „Żywcem pogrzebany", „Wielki człowiek", „Pan Prohack". Również i jego twórczość w dziedzinie teatralnej była na scenie polskiej ukazana w przekładzie. (R.)

*

„L'Ennemie intime" (Flammarion édit.) jest powieścią z życia prowincjonalnego, które autorka, pani Marcelle Tinayre zna doskonale. Stary Capdenat na którego czyha apopleksja, tyranizuje swą córkę i syna. Postanawiają też pieczę nad ojcem poruczyć guwernantce, a to tem więcej, że Geneviève jest zamężną w Paryżu, a brat jej, komunista, poświęca się z zapałem bolszewickiej sprawie. Guwernantka ta przybywa, w postaci starej oczywiście panny, będącej pod pozorami świątobliwości i dobroci, prawdziwą żmiją, jak to zresztą określa po części jej nazwisko: Renaude Vipereux

Ta zyskuje sobie przedewszystkiem zaufanie i względy zupełnie starego Capdenat, wszechwładnie rozpanasza się w domu rodzinnym, a wreszcie realizuje w zupełności swój plan, bo pod jej wpływem niegodny ojciec wydziedzicza dzieci. Te miałyby sposób do zaatakowania testamentu. Renaude Vipereux grozi jednak Geneviève, że jeżeli to uczyni, ona wyda na jaw jej list miłosny, pisany nie do... męża. Ta, pod wpływem tej groźby zabija się. Wówczas jednak pomści śmierć swej siostry brat jej, wymuszając przyznanie się do winy na monstrualnej Renaude Vipereux. Powieść pani Tinayre dobrze napisana, nie jest jednak pozbawiona pewnych trochę teatralnych ustępów. Trzeba jednak przyznać, że dramatom prowincjonalnym brak zawsze niemal prostoty. Każde bowiem zdarzenie staje się ewenementem; każde uczucie jest podniesione do najwyższej potęgi, co sprawia, iż w monotonnem tem życiu ludzie zatracają często poczucie istotnych walorów, gdy tylko trochę zboczy ono z normalnego, utartego swego trybu. (J. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

Wacław Wąsowicz zrobił dłuższą wycieczkę artystyczną do Grecji i na Bałkany, a teraz plon swej podróży wystawił w polskim klubie artyst. Rezultat jest bardzo obfity ilościowo oraz jakościowo i spisany został w katalogu wystawy, opatrzonym króciutkim, lecz treściwym wstępem pióra samego artysty. Dobry to pomysł taki autowstęp i zasługuje na rozpowszechnienie. Dowodzi, że może doskonale się obejść bez niani-Krytyki, tembardziej, iż u nas ta niania często nie wie co powiedzieć o swoim pupilu. Ponieważ malarz przemówił sam o sobie, byłoby nietaktem nie zakomunikować jego słów czytelnikom. P. Wąsowicz pisze: „Kiedy przypominam sobie moje dawne obrazy z okresu formizmu, widzę w nich usiłowanie rozbicia płaszczyzny obrazu, w którym kolor był środkiem pomocniczym dla osiągnięcia efektu raczej graficznego niż malarskiego“. Potem następuje okres przejściowy, forma jednak przeważa jeszcze nad barwą. Następnie „stopniowe wyzwolenie się z formy prowadzi do nowego okresu mojej twórczości, której najważniejszem zagadnieniem staje się barwa. Barwa, która jest tem dla malarstwa, czem forma dla rzeźby“. „Prawie wszystkie wystawione obrazy“, czytamy dalej, „malowałem pod silnem wrażeniem natury, która łącząc gorące barwy ziemi, drzew i domów stwarza piękną i ciekawą harmonję kolorystyczną“. Istotnie, obrazy Wąsowicza, wśród których przeważa akwarela i gwasz, to pławienie się w barwie. Można stwarzać harmonje kolorystyczne delikatne i melancholijne, można uzyskać zestawienia barwne wywołujące wrażenie smutku, lecz zasadniczo barwa jest czemś wesołem. Jest ona radością, radością zmysłową oczu. Łaknienie barwy o znamionach wybitnej zmysłowości uważam za najwybitniejszą cechę prac Wąsowicza. Gdy nasyceni, upici barwnością jego obrazów, przymykamy oczy, aby zestawić sobie ogólne wrażenie, na powierzchnię pamięci wypływa szafir głęboki i czerwień, czerwień ruda, dochodząca nieraz do tonacji złocistej. Skądś już to znany... Aha! Ze starych bizantyjskich ikon. Teraz wszystko staje się jasne. Taki więc tam jest świat, o jego barwie opowiedział nam przecież Wąsowicz. Ci dawni zakonnicy, malarze ikon nie malowali ich jednak z natury. Zwracali się po wzory na nie do swego wnętrza, a tam znaleźli barwy te same, gdyż ze świata, w którym żyli, przenikały w nich od dzieciństwa.

Tyle o kolorycie. Jeżeli chodzi o technikę Wąsowicza, bardzo francuską, to potęguje ona jeszcze zawarty w jego obrazach pierwiastek zmysłowości. Przedewszystkiem w pracach olejnych, bo farba wodna, przezroczysta, z natury rzeczy jest bardziej eteryczna i odmaterjalizowana. Zwracam uwagę, że w obchodzeniu się wielu malarzy współczesnych z farbą olejną, w jej gnębieniu, tłamszeniu, gniecieniu, szpachlowaniu, w napawaniu się jej mastkością kryje się pewne okrucieństwo zmysłowości. Erotyzm ten w innej dziedzinie ochrzcili byśmy mianem sadyzmu.

Przechodząc do kompozycyjnej strony dzieł W. stwierdzamy, mimo zapewnień artysty o przerzuceniu całego ciężaru zainteresowań malarskich na barwę, ich prawie zawsze dobrą strukturę. Uderza to zwłaszcza (gdyż jest trudniejsze do uzyskania) w małych akwarelach malowanych prędko *„à la prima“*. Duża i piękna kompozycja p. t. „Pejzaż Grecki“ ma i formę zdecydowaną. Ciężka masa terenu posiada wagę materji, masy dwu drzew wyraźnie i silnie zaznaczoną bryłowatość. Materjalność rzeczy wspomaga i ciężar gatunkowy barwy, odzyskany przez nią w epoce pocezannowskiej, a nieistniejący w obrazach impresjonistów.

Wszystkim, odczuwającym prawdziwy głód dobrego malarstwa, wystawa Wąsowicza sprawić może szczerą satysfakcję (W. P.)

NOWE KSIĄŻKI

Mortęski Henryk. Takiem jest życie. Powieść. Warsz. 1931. F. Hoesick.

Zagórski Adam. Walka o teatr. Warsz. 1931. F. Hoesick (Z portr.).

Bergman Aleks. Liga Narodów. 1920—30. Studjum polityczne. Warsz. 1931. F. Hoesick. Str. 165.

Grabowski Tadeusz. Krytyka literacka w Polsce w epoce romantycznej (1831—1863). Kraków 1931. Akad. Umiej. S. V. i 252.

Kolbuszewski Stanisław. Polski teatr romantyczny. Część I. Prolegementa do estetyki. (Gniezno) 1931. (odbito 200 egz.). S. 175.

Wasilewski Zygmunt. Przełęcz Jana Kasprowicza. Warsz. 1931. Odbitka z nr. 10 i 11 „Myśli Nar.“ S. 24 (Odbitka 60 egz.)

Łoza Stanisław. Słownik architektów i budowniczych Polaków oraz cudzoziemców w Polsce pracujących. Wyd II. Warsz 1931. Kasa im. Mianowskiego S. 495.

Cichoszewska Helena Cmentarzysko w Poczerninie. Toruń 1931. S. 52 i tabl.

Zapiski Tow. Naukowego w Toruniu za r. 1930 (Zesz. 5—8)

Drogoszewski Aureli. Pozytywizm polski. Lwów 1931. Ossolineum. S. 68.

Ujejski Józef. Dzieje polskiego mesjanizmu (do powstania listop.) Lwów 1931. Ossolineum. S. VIII i 344.

Nałęcz Gostomska Zofja. Z kanadyjskich szlaków. Lwów. 1931. S. 123 (z ilustr.)

Tyrowicz Marjan. Działalność publiczna J. U. Niemcewicza 1807—13. Wilno 1930. Odb. z „Ateneum Wil.“ S. 30.

Bobrzyński Michał. Dzieje Polski w zarysie. Tom III. Dzieje porozbiorowe. Warsz. (1931). Gebethner i Wolff. str. VI, 442 i 4 mapy Polski.

NA MARGINESIE

Inspektor szkolny z Jasła, p. Klich, rozesłał do szkół okólnik:

„Nawiązując do tutejszego polecenia z dnia 2 marca 1931 r., L. 55931, polecam zarządowi szkoły zapodać odwrotnie przyczynę, dlaczego dotychczas nie zamówił kartek imieninowych z podobizną marszałka Józefa Piłsudskiego. Równocześnie zaznaczam, że karty te można w dalszym ciągu nabywać w dowolnej ilości w biurze Rady szkolnej powiatowej, a termin jest przedłużony do dnia 30 marca 1931“.

Imieniny były 19-go, a kartki jeszcze 30-go kazano „nabywać w dowolnej ilości“. „Myśl Niepodległa“, przytaczając powyższy okólnić, robi uwagę:

„Dotychczas żadna instancja nie wyjaśniła, na jaki cel szły pieniądze ze sprzedaży pocztówek, które, jak wynika z powyższego, klasycznego „urgensu“, dostarczały odbiorcom urzędy państwowe. To uporczywe milczenie jest tembardziej niezrozumiałe wobec uporczywie krążących pogłosek, jakoby wydawcy owych pocztówek oparli na imieninowej konjunkturze zwyczajne przedsiębiorstwo dochodowe. W takim zaś razie sytuacja urzędników, pośredniczących w owym handlu, byłaby conajmniej drastyczna. Krzewienie kultu dla osoby marszałka Piłsudskiego i robienie z biura filji prywatnego sklepu, to dwie rzeczy różne i niekoniecznie godzące się z sobą“.

*

W obstalunkowo patetycznym artykule wstępnym, ogłoszonym w świątecznym numerze „Gazety Polskiej“, niepodpisany autor — przejęty oficjalnem wzruszeniem — wplata następujące wspomnienie historyczne:

„... pod Grunwaldem zdarliśmy białe krzyże z piersi, które niegodnie je nosiły...“

Okropnie ciężko idzie z tem pośpiesznem uzupełnianiem wykształcenia u publicystów „sanacyjnych“, zwłaszcza w tak obcej i nieznanej im dziedzinie — w historji odwiecznych zmagań się polsko-niemieckich. Gdyby biedaczki cośkolwiek choć wiedziały o Krzyżakach, orjentowałyby się oczywiście, że rycerze teutońscy nosili „płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony“, czarny krzyż na białym płaszczu... Ale dla „sanatora“ to są rzeczy tak niewiadome, tak odległe, owe dzieje Polski z przed roku 1905 i tak niema właściwie o czem gadać, kiedy czasami z obowiązku przyzwoitości wypadnie jednakowoż wspomnieć o nich słów kilka w okolicznościowo-uroczystościowem wypracowaniu...

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.